№ 24 Rok XXXIII

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 25 Maja (6 Czerwca) 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie zlr. 2. Na prowincyi zlr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał trzeci roku bieżącego. Warunki prenumeraty pozostają te same, a mianowicie:

W Warszawie kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.

półrocznie rs. 2 kop. 50.

rocznie rs. 5.

Adres: Emil Skiwski, redaktor i wydawca „Tygodnika mód i powieści" w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Za zmianę adresu kop. 15.

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Schwartz usiadł mu na kolanach i przymilając się poswojemu, zaczął:

— No, to już teraz wracamy do Mańkocic?

Konrad nie zaraz odpowiedział.

Wstał, rozprostował kości, uśmiechnął się znów na widok rozpromienionych twarzy obu młodzieńców, ale odparł poważnie:

— Ja muszę pozostać. Z tem właśnie do was przyszedłem. Wybaczcie!

Schwartz aż zachwiał się na nogach, a i w twarzy Marczewskiego odbiło się zdziwienie.

— Dlaczego? — zawołali prawie równocześnie.

Konrad westchnął.

— Ot, prosta konieczność! — rzekł tylko.

I dopiero po chwili począł im tłómaczyć, że pozostawił tu przeróżne interesa, które teraz domagają się jego obecności. Skomplikowała to wszystko śmierć stryja. Całe pół dnia już zmarnował, nie wiele załatwiwszy. Znają go przecie z tego, że nie lubi się drożyć i zawsze wszystko trzeźwo widzi. Gdyby mógł wybierać, czyżby nie wybrał powrotu do Mańkocic, gdzie mu tak dobrze było przez tych dni kilka? Napisze nawet do ojca Antka z przeproszeniem słów parę, ale zostać musi.

Tyle było stanowczości w jego głosie, że i Antek i Kaziek, choć zpoczątku przerywali mu te wyznania, domagając się konkretniejszych objaśnień, przestali wkońcu nalegać.

— Widzę, że tak być musi! — rzekł pierwszy Marczewski.

Antoś lamentował jeszcze czas jakiś, nie mogąc się z tem pogodzić.

— Nie uwierzysz, jak mi to przykro!—mówił.— A ojciec to już chyba nie daruje mi nigdy tego, że cię z powrotem nie przywiozę!

Konrad uścisnął mu rękę w milczeniu.

— Bo możebyśmy do niedzieli zaczekali na ciebie? — spytał jeszcze Schwartz, czepiając się powtórnie jakiejś nadziei. — Widzisz, jabym zaraz zatelegrafował do ojca...

Nie było już żadnej odpowiedzi. Konrad, jakby nie słyszał tej uwagi, począł pisać zapowiedziany list do starego Schwartza.

— No, to przynajmniej zjedzmy razem pożegnalny obiad! — zawołał Marczewski z rezygnacyą.

— Zgoda! — odrzucił Konrad wesoło, nie przerywając pisania.

W godzinę później powóz, z wytrzeźwionym już Kubą na koźle i z obu młodymi chłopcami pośrodku, znikał poza rogatkami miejskiemi.

VII.

Co sobie postanowił, tego istotnie dokonał. Nie minął tydzień i wszystko wróciło pozornie do dawnego ładu.

Józia opuściła szpital i zajęła znów swój schludny pokoik przy magazynie. Zdrowia jeszcze nie miała i często sił jej brakowało, przecież zajmowała się już robotą, wesoła, ochocza, uśmiechnięta, jak dawniej.

Wiktor dawał znów lekcye na pensyi pani Daleckiej, a choć ze swojej nory na Piwnej nie chciał się wynieść i wzbraniał się zamieszkać wspólnie z Konradem, w świeżo przezeń wynajętem, dość obszernem mieszkanku na Nowym-Świecie, to jednak domu swego pilnował i siedział już w nim kamieniem. O każdej porze, z wyjątkiem paru godzin południowych, można go było tam zastać, już to kreślącego coś zawzięcie, już też w gorącej dyskusyi z owym młodzieniaszkiem poetą, nieodstępnie go się dotąd trzymającym.

Dał też znowu, za pośrednictwem Konrada, kilka nowych swych wierszy do pism i tygodników, a wiersze te, wydrukowane skwapliwie, prawie powszechne tym razem sprawiły wrażenie.

Codzień, około ósmej wieczorem, odwiedzali obaj Józię, w jej mieszkaniu przy magazynie. Przyobiecał jej to Konrad, odwożąc ją wraz z Wiktorem ze szpitala, i dotąd święcie obietnicy tej obaj dotrzymywali. Umówili się już tak, że Wiktor przed ósmą przybywał do Konrada, ten zaś wstawał zaraz od biurka, wołał:—„Jesteś! Dobrze! Idziemy!" — ubierał się w mgnieniu oka i szli do Józi.

Nie przychodzili nigdy z próżnemi rękami.

Raz Wiktor przybiegł z pękiem ślicznych róż jesiennych, mówiąc do przyjaciela:

— Dostałem od znajomego ogrodnika! Daj jej to ty! To ją bardziej ucieszy!

Konrad wziął róże, ale po drodze kupił ich dwa razy tyle, a nazajutrz, gdy Wiktor znów przybiegł, miał już pudełko cukierków i na zapytanie: „co z sobą zabierasz?"—odparł:

— Dostałem od znajomego cukiernika. To kobiety, obok kwiatów, także bardzo lubią!

A chore dziewczę przychodziło istotnie do zdrowia, prędzej może pod wpływem tych stałych wizyt wieczornych brata i jego towarzysza, niż dzięki używanym jeszcze ciągle lekarstwom.

Gdy przybywali, czekał ich już samowarek maleńki, o którym Józia z dumą mawiała: „To mój, mój własny" — czekała i ona, drżąca, blada, chora, a przecież, mimo trawiącej ją choroby, rozkwitająca, jak te róże, które pielęgnując starannie, dotąd jeszcze — od tygodnia — w pokoiku swoim na honorowem miejscu trzymała.

Gawędzono zazwyczaj swobodnie przez całą godzinę, a czasem i dłużej, popijając herbatę. Niekiedy zjawiała się podczas tej uczty i właścicielka magazynu, kobieta nie pierwszej już młodości, a widocznie pełna serca, cicha i łagodna. Nie miała ona dość pochwał dla Józi, przeciwko czemu zażenowane dziewczę broniło się, jak mogło.

— A jutro przyjdziecie?—zwracała się zwykle Józia do brata przy pożegnaniu.

— Przyjdziemy—odpowiadał za niego z uśmiechem Konrad, za co odbierał od Józi wnagrodę pełne wdzięczności spojrzenie, przez które chciała mu niejako powiedzieć: „To wszystko twoja robota, twoja zasługa..."

Zazwyczaj zaś, podczas tych odwiedzin, ani Wiktor, ani Konrad nie szafowali zbytecznie słowami. Józia mówiła za nich obydwu, spowiadając się nieraz z drobnych kłopotów, trosk dziennych i trudności swego zawodu, a mimowoli wracała zawsze do tego, że teraz znowu żyć pragnie, chce, musi, bo warto! Dawniej, w Lipcu i Sierpniu — a szczególniej tam, w szpitalu — to było jej już prawie wszystko jedno.

— Dziś!... Ach! dziś!... co innego! — dodawała z dziecięcym uśmiechem.

Zdarzyło się pewnego wieczora, że Wiktor, odciągając ją cokolwiek nabok, wręczył jej trzy ruble.

— Pożyczyłem od ciebie — mówił z właściwą sobie otwartością, nie starając się zresztą o to aby te słowa nie doszły uszu obecnego Konrada, — pożyczyłem... wiesz przecie... Dziś mam... oddaję!— i kończąc to wyznanie szeptem, pocałował ją w rękę, której już usunąć wporę nie zdołała.

— Eh! Wiktor! — prosiła, — cóż znowu!

Cisnęła też zaraz zielony papierek na stół, między porozstawiane filiżanki z herbatą, i rozpłakała się rzewnie.

— Ty się ze mną liczysz co do grosza! Ty mnie już nic a nic nie kochasz! — mówiła, odwracając się do ściany.

Konrad musiał wdać się w tę sprawę i pobiegł ich godzić.

— Panno Józefo! — mówił — przecie to nic prostszego... Pożyczył, oddaje... U pani to pewne, jak na ołtarzu, a widzi pani, to może się jeszcze przydać i jemu, i mnie nawet! Niech pani to schowa! Niech pani to kapitalizuje!

Przekonał ją samym dźwiękiem swego głosu, któremu poddawała się zawsze bezsilna, czując dobrze, że brak jej wówczas własnej woli.

Nieprędko też przestała płakać, a ów nieszczęsny zielony papierek pozostał do końca nietkniętym.

Mimo to, po chwili, śmiała się sama i ich do śmiechu wyzywała, mówiąc: „Byleście tylko znów jutro przyszli!..."

A po każdych podobnych odwiedzinach wracali obaj z tak pełnemi radosnego szczebiotu dziewczęcia sercami, że wspólną drogę przebywali już zazwyczaj w milczeniu i zaledwie starczyło im słów na powiedzenie sobie: „Dobranoc! do jutra!" — gdy rozchodzili się w przeciwne strony.

Najgorzej na tem wszystkiem wychodziła biedna Mania. Tak wiele obiecywała sobie po tej zapowiedzianej wizycie młodego człowieka, który mimowoli wkradł jej się w pamięć, że wizyta owa musiała przynieść jej tylko pewien rodzaj zawodu i rozczarowania.

Pan Konrad nie przyszedł bowiem nazajutrz, po pogrzebie stryja, według obietnicy. Zjawił się dopiero w trzy dni później, wówczas, kiedy Mania dwie noce już nie spała i zwątpiła nawet, iż kiedykolwiek jeszcze go zobaczy.

A przychodził właśnie jakiś znużony, wyczerpany, nie mogąc widocznie jeszcze opędzić się wrażeniom, jakie wyniósł ze szpitala i ze spotkania z Wiktorem. Ta cisza, ład, dostatek, wobec których tu się znalazł, raziły go niemile po tem, co przeszedł w ostatnich dniach, wraz z tymi, których los związany był mimowoli z jego losem. Był wprawdzie ugrzecznionym, uważał na każdy swój ruch, po kilkakroć wracał do swoich zapewnień o wdzięczności za zajęcie się pogrzebem nieboszczyka, ale słów oszczędzał, starał się wymknąć ztąd jaknajprędzej, na Manię prawie nawet nie spojrzał, a to wszystko nadało jego wizycie jakąś cechę sztywną, ceremonialną, w każdym zaś razie dalekiem było od tego, o czem śniło biedna panienka w swoich marzeniach.

Próżno mówiła sobie, że inaczej być nie mogło i nie powinno; próżno też wyszydzała sama przed sobą owę gorączkę i niepokój, jakie ją trawiły. Rzeczywistość była tak niepodobną do jej snów rozkosznych z ostatnich dni paru, że głos rozsądku nie mógł już zapełnić tej przepaści, jaka się nagle przed nią roztwarła.

Ach, te sny, te marzenia!

Od czasu owego spotkania przypadkowego w Czerwcu, młody ten człowiek nie schodził jej z myśli, ścigał jej pamięć na każdym niemal kroku, wplatał się mimowoli we wszelkie jej wspomnienia. Zdawało jej się ciągle, że znała go już oddawna, że przypominała sobie dźwięk jego głosu, że widziała już gdzieś jego oczy i że te oczy od dzieciństwa ją prześladowały, od kolebki już chyba. Spokoju nie miała wskutek tego przez całe lato, a przecież dobrze jej z tem było. Uzbrajała się bowiem w cierpliwość, wierząc, że znów spotkać się muszą, że obojętnie więcej już minąć się nie mogą. I wiara ta jej nie zawiodła.

Pomimo zaś szczerego żalu, jaki obudził w jej serduszku zgon biednego pana Ignacego, zdawało jej się przecież, że sam Bóg pokierował już tak umyślnie tą sprawą, aby oboje tem prędzej spotkać się mogli. Czuła, że myśląc w ten sposób, bluźni, i żegnała się zgorszona i czyniła sobie gorzkie wyrzuty, a przecież myśli tej pozbyć się nie mogła. Bóg, Bóg sam chciał tego... Ach, tak!... Bo on przecie nie mógł dotąd do niej się zbliżyć—teraz co innego! Teraz nadarzała się sposobność, której on chwycić się musi skwapliwie i chwyci się z pewnością.

Na cmentarzu zbliżył się też zaraz, a choć mówił niewiele, zwracał się tylko do mamusi i prawie że umyślnie unikał jej spojrzenia, to jednak czyż mógł postąpić inaczej? Owszem, miała mu to za dobre. Miejsce i chwila usprawiedliwiały go w jej oczach zupełnie. Potem raz jeszcze ukłonił się z powozu, a tym razem spojrzał już wyraźnie. Wróciła też wówczas z tego pogrzebu, niby z jakiegoś wesela, uszczęśliwiona, pełna skrytych nadziei, a choć znów się żegnała i nawet cały pacierz zmówiła, aby te myśli radosne odpędzić, nic nie pomogło, szczęście wygnać się z serduszka nie dało.

Ach, te marzenia, te nieszczęsne marzenia!

Siedziała oto teraz, wobec niego, blada, drżąca, jak liść na wietrze, mając w myśli to tylko, że zwlekał z temi odwiedzinami, że niepilno mu do niej było.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z DZIEDZINY

NAUKI I WYNALAZKÓW.

Glin.—Stacya meteorologiczna na górze Montblanc.— Kolej na Jungfrau. — Jak piżmoszczur oddycha pod lodem. — Badania nad rozwojem pojęć wzrokowych.

(Dokończenie.)

Jedną z najgłówniejszych podstaw dobrobytu Szwajcaryi jest obfity napływ cudzoziemców, których piękności natury zwabiają corocznie do tej ziemi, pełnej najwspanialszych widoków. Ale oświeceni i przemyślni synowie tego kraju nie spuszcza-

ją się na samę naturę. Owszem, robią oni wszystko, na co się może zdobyć współczesna wiedza i sztuka, aby gościom, którzy przywożą im złoto, uprzyjemnić pobyt w swojej ojczyźnie i ułatwić poznanie jej wdzięków. Dzięki usiłowaniom, skierowanym do tego celu, Szwajcarya zbogaciła się w ostatnich czasach wieloma już drogami żelaznemi rozmaitych systemów, wspinającemi się na wierzchołki gór, słynnych z rozległych i wspaniałych widoków.

Jedna z najświeższych, prowadząca na górę Pilata (Mont-Pilate), zbudowana przez inżyniera Lochera, zadziwia śmiałością swojego pomysłu i należy do najważniejszych dzieł konstrukcyjnych.

Obecnie twórca tej drogi projektuje nową kolej na górę Jungfrau, której lodowce panują nad doliną Interlakenu, a wierzchołek sięga wysokości 4,166 metrów. Od podstawy przy Lauterbrunnen, aż do szczytu, Locher chce przebić dwa równoległe do siebie tunele, w każdym z nich biedz będzie wagon na 50 osób, w jednym dogóry, w drugim równocześnie na dół, a następnie w kierunkach odwrotnych. Zewnętrzna powierzchnia wagonu ma się niemal dotykać wewnętrznej powierzchni tunelu, gdyż różnica ich średnic będzie wynosić tylko 1 centymetr. Szczególne przyrządy, osadzone w liczbie 400 na całej powierzchni wagonu (zwane chicanes) sprawią, że ruch powietrza w ciasnym odstępie pomiędzy wagonem a ścianą tunelu będzie prawie całkowicie zatamowany, t. j. że powietrze nie będzie się mogło przedostawać od tylnej do przedniej powierzchni wagonu i odwrotnie.

Machina zgęszczająca poniżej wagonu wstępującego powietrze o dziesiątą część ciśnienia atmosfery, będzie popychała go dogóry, jakby tłok w rurze pneumatycznej.

Działanie tej machiny będzie miało tylko podrzędne znaczenie, główna siła poruszająca będzie się wytwarzała przez zagęszczenie powietrza w sąsiednim tunelu, przez wagon zstępujący nadół.

To zagęszczone powietrze przez boczne otwory komunikacyjne, zaopatrzone w odpowiednie zastawki, będzie przechodziło do drugiego tunelu pod wagon wstępujący i siłą swojej prężności będzie go pchało dogóry, prawie bez kosztu. Siła wytworzona przez machinę posłuży tylko do pokonania tarcia i do wyrównania możliwej różnicy ciężaru osób znajdujących się w obu wagonach. Przy takiem urządzeniu, powietrze przepływające z jednego do drugiego tunelu zastąpi linę, łączącą oba wagony w systemie łańcuchowym. Wjazd na górę ma trwać 15 minut.

* * *

W stawach północnej Ameryki przebywa zwierzątko, zwane piżmoszczurem, które, jako zwierzę ssące, oddycha zapomocą płuc i dlatego musi często wypływać na powierzchnię wody. M. W. Spoon podaje ciekawą wiadomość o tem, jak sobie radzi piżmoszczur, kiedy mu przychodzi przepłynąć w zimie pod lodem staw takiej długości, że go nie może przebyć odrazu z powstrzymaniem oddechu. W tym razie zwierzę zatrzymuje się od czasu do czasu pod skorupą lodową i wydycha z płuc zużyte powietrze, które się zbiera pod lodem w postaci uwięzionej bańki. Wtedy między tem powietrzem, niezdatnem już do oddychania, a powietrzem rozpuszczonem w otaczającej wodzie, następuje szybka wymiana gazów, przy której gaz tworzący bańkę pozbywa się nadmiaru bezwodnika (kwasu) węglanego, a zaopatruje się w tlen, poczem piżmoszczur wdycha odświeżone w tem sposób powietrze w swoje płuca i płynie dalej, dopóki nie uczuje nanowo potrzeby odetchnięcia. Jeśli człowiek, stojący na lodzie, uderzając w lód, rozproszy taką bańkę na drobne pęcherzyki, wtedy zwierzę, nie mogąc odetchnąć, dusi się i tonie.

* * *

W 13 numerze pisma „Naturwissenschaftliche Rundschau" z r. b. E. Raehlman podaje wyniki swoich badań nad rozwojem pojęć wzrokowych u niemowląt i osób ślepych z urodzenia, które skutkiem operacyi przejrzały.

Czy nasze pojęcia o przestrzeni są nam wrodzone, lub też nabyte przez doświadczenie zapomocą wrażeń zmysłowych? jest to pytanie, do dziś jeszcze sporne. Tak zwani natywiści twierdzą, że posiadamy wrodzoną zdolność oceniania odległości i gotowe pojęcia przestrzenne, a na poparcie swojego twierdzenia przytaczają tę okoliczność, że zwierzęta natychmiast po urodzeniu poruszają się swobodnie i wyszukują dla siebie pożywienie, że zatem mogą się odrazu oryentować w przestrzeni, bez żadnej nauki. Przeciwnie, empiryści, t. j. stronnicy pojęć, nabytych wyłącznie przez doświadczenie, wskazują na człowieka, który po urodzeniu zdaje się nie mieć żadnych jeszcze pojęć przestrzennych i dopiero stopniowo ich nabywa, wmiarę jak uczy się używać swoich zmysłów, a przedewszystkiem wzroku, będącego głównym wytwórcą wszelkich pojęć o przestrzeni.

Ważne światło na rozstrzygnięcie tego pytania rzucają postrzeżenia Raehlmana, dokonane na inteligentnym młodzieńcu, który się urodził z zaćmą (kataraktą) na obu oczach. Gdy pacyent miał już rok 19, Raehlman szczęśliwie zdjął zaćmę z obu jego oczu, a następnie miał go przez czas długi pod bezpośrednią i ustawiczną swoją obserwacyą. Zupełnie taki sam przypadek wydarzył mu się z 14-letnią dziewczyną, którą po operacyi mógł obserwować w równie sprzyjających okolicznościach. Przypadki takie i przytem w tak pomyślnych dla badań naukowych warunkach przytrafiają się rzadko i dlatego spostrzeżenia Raehlmana przedstawiają wielką doniosłość.

Ów młodzieniec, nazwiskiem Jan Ruben, aż do czasu operacyi, o odległościach przedmiotów i o ich obrysach miał tylko pojęcia, nabyte zapomocą zmysłu dotykania. Gdy upłynęło cztery tygodnie od operacyi drugiego, Raehlman rozpoczął z przyjacielem pierwsze próby używania wzroku, które się powtarzały codziennie i coraz więcej rozszerzały. W 12 dni potem usunięto zupełnie opaskę zabezpieczającą, poczem jeszcze przez miesiąc Ruben pozostawał ciągle pod obserwacyą i kierunkiem operatora.

Po operacyi, przy pierwszych próbach widzenia, Ruben nie umiał zupełnie patrzyć na przedmioty, czyli fiksować ich. Ruchy oczne, czynione przez niego w tym celu, były zupełnie nieprawidłowe; tylko z wielką trudnością mógł on skierować oczy na dany przedmiot i zachować je przez czas jakiś we właściwem położeniu, czyli utrzymać wzrok na tym przedmiocie. Kiedy postawiono przed nim naczynie, z którego zwykle pijał, oczy jego pozostały nieruchome, kiedy następnie poznał już zapomocą macania naczynie, wtedy skierował na nie swoje oczy, ale nie nadługo, bo zaraz zaczęły one odbywać ruchy nieprawidłowe, drgające, tak charakterystyczne u ludzi ślepych, i nie dały utrzymać się stale w należytem położeniu. Ruchy te znikły dopiero później, kiedy już nabył pewnej wprawy w używaniu oczu; widocznie więc potrzebował pewnej wprawy do swobodnego i celowego ich poruszania. Gdy przedmiot, na który patrzył, został przez kogoś wprawionym w ruch, Ruben natychmiast tracił go z oczu; oczywiście nie umiał jeszcze ich zwracać w kierunku ruchu przedmiotu.

Oko wyrobione normalnie posiada, jak wiadomo, szerokie pole widzenia, to jest może widzieć jednocześnie nietylko przedmiot wprost znajdujący się przed sobą, ale i przedmioty postronne; Ruben widział tylko przedmiot wprost przeciwległy, którego obraz malował się na żółtej plamie siatkówki oka, przedmiotów stojących pobokach wcale nie widział. Gdy szybko zbliżano rękę do jego oka, w kierunku prostopadłym do jego powierzchni, mimowolnie zamykał powiekę; gdy czyniono tosamo w kierunku ukośnym, wcale nie zmrużał oka. Zupełnie taksamo zachowują się niemowlęta.

Zwroty oczu wbok przychodziły mu z bardzo wielką trudnością; zamiast nich, wykręcał onnabok całą growę.

Po niejakim czasie nauczył się oceniać zapomocą samych tylko ruchów ocznych odległość blizkich przedmiotów, to jest takich, których mógł dosięgnąć ręką. Przy tej nauce macanie ręką służyło mu do kontrolowania sądu o odległości.

Ale o odległości przedmiotów dalszych, których nie mógł dosięgnąć, długo jeszcze sądził fałszywie i nieraz próbował je chwytać, podobnie jak to czynią małe dzieci. Dopiero przy pomocy poruszeń całego ciała nauczył się mierzyć odległość dalekich przedmiotów ruchami oczu, kierowanych na te przedmioty.

Przy ruchach ciała, przy chodzie, zpoczątku często uderzał się o stojące na drodze przeszkody, ale bardzo prędko nauczył się je omijać.

Podobnież nie umiał poznawać samym wzrokiem postaci przedmiotów. Zrazu nie mógł na przykład rozróżnić kuli od sześcianu, potem rozpoznawał już, że są one do siebie niepodobne, ale tylko przy pomocy ręki przekonywał się, że pierwsza jest okrągła, a drugi graniasty. Dopiero po dłuższej rozprawie nauczył się wzrokiem poznawać kształty przedmiotów.

Podobnież sam wzrok nie wystarczał zpoczątku do dania mu pojęcia liczby. Zapałkę trzymaną przed sobą na 1 lub 2 stopy widział natychmiast, ale gdy w tejże odległości umieszczono ich dwie na krzyż złożone, nie wiedział zupełnie, że to dwie zapałki, ale mniemał, że to jest jakiś całkiem nowy przedmiot i musiał dotknąć obu zkolei, aby je poznać i ocenić wzajemne ich położenie. Gdy trzymano 2 albo 3 zapałki równolegle, w oddaleniu około 3 centymetrów jedna od drugiej, poznawał, że jest ich kilka, ale nie umiał ich policzyć bez dotknięcia każdej zosobna. Po upływie kilku dni nauczył się jednak liczyć samym wzrokiem.

Z opisanych postrzeżeń musimy wyprowadzić ten wniosek, że nie przynosimy ze sobą na świat żadnych wrodzonych pojęć o odległości, ani o wymiarach przestrzennych, i że sam wzrok nie jest nam wstanie dostarczyć pojęć tego rodzaju. Musimy uczyć się patrzyć i widzić, a do tej nauki dopomaga nam doświadczenie, nabyte zapomocą innych zmysłów, a szczególniej dotykania, w którem znajdujemy kontrolę pojęć, powstających z wrażeń wzrokowych.

W. Skłodowski.



LITERACKA.

Paryż, 11 Czerwca 1891 r.

Jak bywa zwykle, przez Maj do połowy Czerwca, Paryż utonął cały w zabawach i widowiskach wszelkiego rodzaju. Bale, koncerta, wyścigi konne powtarzają się codzień. Dwie wystawy rzeźb i obrazów, na polach Elizejskich i na polu Marsowem, przyciągają codzień po kilkanaście tysięcy ciekawych. Życie wre jakiemś gorączkowem tętnem, dochodzącem niemal do szału.

Wierne odbicie tego stanu umysłowego znaleźliśmy na wystawie w obrazie Rochegrossa pod tytułem „Śmierć Babilonu.” Młody ten wielkiego talentu malarz przedstawił na ogromnem płótnie ucztę Baltazarową. W przepysznej sali królewskiego pałacu, wśród posągów marmurowych i tysiąca gorejących świateł, widzimy biesiadników w złotogłowiu i purpurze, powalonych na ziemię, z twarzą czerwoną, obrzękłą od trunku, z obłędnemi oczyma. Kobiety strojne w bisior i bławat, uwieńczone w róże, błyszczące od pereł i klejnotów, tarzają się zarówno po złotolitych wezgłowiach i kobiercach. Na wielkim stole rozrzucone bezładnie szczątki uczty, owoce, kwiaty, poprzewracane amfory i czasze. Nad tym pijanym i rozpasanym tłumem góruje na estradzie postać Baltazara. Król nie zamrużył powiek, zerwał się z tronu przerażony, spostrzegł bowiem nad sobą widmo śmierci z rozpostartemi skrzydły. A oto w głębi przez rozbitą na oścież bramą, przy różowym brzasku dziennym, ukazuje się inny tłum zbrojny w żelazne włócznie, z głownią pożarną w ręku. To żołnierze Cyrusa, narzędzia pomsty Bożej.

Obraz ten ogromne sprawia wrażenie; genialny to pomysł, oddany płomienistym pędzlem. Połowa sędziów konkursowych przyznała mu najwyższą nagrodę, honorowy medal, większość oparła się temu, ze względu na młody wiek mistrza, a kto wie, może i z innych pobudek. Wschodzący promień sławy razi oczy dawnych tryumfatorów, spoczywających dziś na zdobytych wawrzynach.

W licznych popisach artystycznych, tak na polu rzeźby, jak malarstwa i muzyki, ziomkowie nasi biorą czynny i chlubny udział. Wpośród obrazów odznacza się wielki portret Józia Hofmana, młodziuchnego artysty, w całkowitej postawie, wspartego o fortepian, wykonany w Berlinie biegłym pędzlem panny Anny Bilińskiej. Zasługują również na uwagę portrety pana Axentowicza. W dziale rzeźb zwraca oczy „Pogoń za sławą,” dłuta pana Cypryana Godebskiego, przedstawiona w postaci kobiety, na skrzydlatym, pełnym ognia pegazie; godzien też wspomnienia pomnik grobowy dłuta pana Kossowskiego.

W świecie muzycznym setki wieńców zebrał tu pianista Paderewski, którego talent doszedł dziś do najwyższej potęgi. Z przyjemnością też słyszeliśmy młodego fortepianistę Stojowskiego, ucznia tutejszego konserwatoryum; oryginalne kompozycye młodziana rokują świetną przyszłość dla sztuki naszej. Wspomnijmy tu jeszcze piękny koncert panny Heleny Krzyżanowskiej, laureatki tegoż konserwatoryum, biegłej fortepianistki i pełnej talentu kompozytorki. Wystąpienie jej, obsypane oklaskami, tem żywsze obudziło w nas współczucie, że młoda artystka, szlachetną powodowana myślą, ofiarowała je na rzecz niegdyś zamożnej, dziś zubożałej rodziny, dla której półtora tysiąca franków stało się prawdziwem dobrodziejstwem.

* * *

Podczas kiedy Paryż używa dosyta wiosennego karnawału, gdy chmary chciwych wrażeń gości przybiegają tu z różnych stron świata, by wziąć udział w kwiatowych i konnych igrzyskach, południowa Francya tymczasem pogrążona w smutku i żałobie. Umarł w Avinion ulubiony poeta, Józef Roumanille, który długie lata poświęcał dla ludu wieśniaczego i rzucił promień światła w umysły prostaczków, zagrzebane w wiekowym pomroku.

Prowancya, oblana od południa błękitnemi falami morza Śródziemnego, od wschodu opasana granitowym zwałem Alp, pełna winnic i gajów oliwnych, świeciła przez ciąg wieków średnich nie samym tylko blaskiem południowego słońca. Była ona kolebką słynnych trubadurów, którzy z lirą w ręku i pieśnią na ustach obiegali zamki feudalnych panów, przewodniczyli na ucztach i turniejach.

Od piętnastego wieku, kiedy władza królewska poczęła centralizować się w północnej Francyi, a Paryż pochłaniał życie prowincyonalne, trubadorowie zniknęli z widnokręgu. Język, którym wyśpiewali tyle cudnych pieśni, odrębny od języka północnej Francyi, ów melodyjny język, zwany *langue d'oc*, przechował się tylko w ustach wieśniaczego ludu i pomału zatracił dawną ogładę. Ognisko światła przeniosło się do północnej Francyi, zkąd promień nie sięgał na południe; różnica języka tamowała mu przystęp. Gruby pomrok otoczył Prowancyą.

W pierwszej połowie bieżącego wieku wybiła dla wiejskiego ludu godzina odrodzenia. We wszystkich krajach Europy, literatura rozwiązana z klasycznych pęt, które ją zbyt długo krępowały, potrzebowała skąpać się w żywym zdroju, powrócić do tradycyj domowych, oddawna zapomnianych. Znalazła je pod strzechą wieśniaczą. Poeci zadzwonili pierwsi na hasło. Goethe wyprowadził na widownię Hermana i Dorotę, Brodziński Halinę i Wiesława, za nimi poszło tylu innych. Nowy zwrot pobudził etnografów do badania życia i obyczajów ludu, zebrano tysiące pieśni, klechd, przysłów i powiastek, odkryto w nich prawdziwe skarby rodzimej poezyi.

Prąd ten ogarnął wszystkie kraje, znalazł silne odbicie i we Francyi południowej. Tu reakcya tem ważniejsza, że wyszła z łona samego ludu.

Gaskony i Prowansale przypominali sobie czasy trubadurów, postanowili podnieść z upadku język, ogładzić go ze zwrotów grubiańskich i do dawnej przywrócić godności. W Gaskonii wystąpił perukarz Jasmin; poemaciki jego z życia ludu znalazły szeroki rozgłos we Francyi. Gdy umarł, rodzinne miasto Agen uczciło go pomnikiem.

W Prowancyi pierwszy wystąpił Józef Roumanille; dziwnie to sympatyczna postać. Syn prostego ogrodnika w Saint Rémy, uczył się pilnie, po ukończeniu nauki został profesorem w jednej ze szkół w Avignon, następnie pracował w drukarni. Pierwszą pobudkę do pieśni dała mu serdeczna miłość dla starej matki. Ta matka nie umiała po francuzku, a pieśń przy kołowrotku najmilszą była dla niej rozrywką; w braku innych, śpiewała zwrotki w zepsutej gwarze ludowej. Prostacze dźwięki raziły poetyczny zmysł wykształconego w szkole syna. Szlachetnym wiedziony popędem, rzuca pieśń za pieśnią, śpiewa językiem prostaczków, ale ogładzonym z wyrażeń gminnych. Każda jego zwrotka tchnie rzewnym wdziękiem, właściwym ludowej poezyi. Wydobył on rzec można z tej poezyi przeczyste ziarno, odrzucił z niej tylko ościstą plewę. Śliczne piosenki jego, zebrane pod tytułem *Li Margarideto* (Stokrotki), pełne świeżej woni, przebiegają dziś z ust do ust, lud prowansalski umie wszystkie na pamięć. Poeta opiewa w nich życie przy domowem ognisku, trudy rolnika, żniwo, winobranie, sianokos, przygody majtków, rybaków i t. p.

Inny zbiorek pieśni kolędowych (Noëls) wyrwany z duszy pobożnych Prowansali, znalazł też serdeczny oddźwięk pomiędzy ludem. Pełno w tych piosnkach wesołej fantazyi: aniołowie rozmawiają żartobliwie i słodko z pastuszkami, dyabły pokazują rogate głowy, wół pogwarza z osiołkiem, różne zwierzęta i ptaki, odzywają się tu poswojemu, podobnie jak w naszych kantyczkach. Cuda Boże opowiadane są tu z niesłychaną prostotą. Przytaczamy w przekładzie pieśń jedną o ślepej dzieweczce. Biedna błaga matkę, aby wzięła ją z sobą do kościoła na pasterkę w noc Bożego Narodzenia. Matka opiera się długo, bo i pocóż tam pójdzie ślepa, skoro nic nie zobaczy?

Dziewczę nalega coraz silniej:

Ścieżka dni moich ciemna, w grobowej pomroczy
Błyśnie mi zorze,
Ja słonecznych lic Twoich nie ujrzę na oczy,
Dzieciątko Boże!

By czcić i wierzyć, oczu nie trzeba mi wcale,
Pomrok je słoni,
Niech Cię uczczę, mój Jezu, w promienistej chwale
Dotknięciem dłoni!

Ślepa drżące do matki wyciąga ramiona,
Błaga tak szczerze,
Płacze... matka ją wreszcie, łzami zniewolona,
Na gody bierze.

I uklękła przy żłobie z pochyloną głową,
Jak liść drży cała,
Zcicha kładzie na sercu rączkę Jezusową,
I... przewidziała!

Rzewne piosenki Roumanilla stały się dla poetów prowansalskich hasłem odrodzenia.

Szczęśliwy zbieg wypadków złączył go z młodym chłopcem, który miał krzepką ręką pochwycić nowy sztandar. W roku 1845, kiedy Roumanille otrzymał miejsce profesora w Avignon, w tejże szkole pobierał nauki Fryderyk Mistral. Gorąca przyjaźń zawiązała się między dorastającym uczniem, a młodym profesorem. Z głębokiem uczuciem Mistral wspomina te chwile. „Zorza rozbłysła w duszy mojej, mówi on, kiedy Roumanille dał mi poznać swoje *stokrotki*, tchnące wonią łąk naszych. Uścisnęliśmy się pod dobrą gwiazdą i nigdy ta gwiazda nie przestała nam świecić!”

Genialny Mistral przerósł o wiele Roumanilla. Poemat jego Mirella, z życia wieśniaków prowansalskich, rozgłosił imię poety. Przyklasnęła mu cała Francya, przyklasnęły mu Niemcy, wykładano poemat z katedry uniwersytetów zareńskich. Roumanille z pełnem miłości sercem patrzył na tryumf przyjaciela.

Wkoło dwóch poetów gromadzili się inni. Wśród nich świecił Aubanel, gorący propagator samoist-

nego rozwoju prowansalskiej poezyi. Zapał ogarnął umysły; rozpoczęły się literackie zebrania w Awignonie. Roumanille założył tu księgarnię, począł wydawać kalendarz prowansalski, dom jego stał się głównym ogniskiem tych poetycznych schadzek.

W roku 1854 poeci zawiązali towarzystwo tak zwanych Felibrów. Na czele stanął Mistral, ale Roumanille pozostał duszą plejady. Działalność Felibrów coraz szersze ogarnia koło. Z głównego pnia wyrosło już mnóstwo odrośli. Każde miasto w południowej Francyi ma swoje ognisko poetyczne, każde ustanawia konkursowe nagrody. Drukarnia Roumanilla puszcza w świat coraz nowe publikacye. Ten ruch porwał za sobą i Prowansalów zamieszkujących Paryż. Zawiązali oni towarzystwo pod nazwą *Koników polnych* (Cigalliens). Utrzymują ciągłe stosunki z południowymi braćmi, odbywają z nimi corocznie zjazdy po rozmaitych miejscach.

Do grona Felibrów należą i kobiety. Jedna z nich, utalentowana Rosa Anais, przed laty dwudziestu uwieńczona na konkursie, oddała rękę Roumanillowi. Córka ich donna Teresa błyszczy dziś, jak gwiazda, w plejadzie prowansalskich poetek.

Obok zasług położonych w odrodzeniu prowansalskiej poezyi, Roumanille oddał inne jeszcze rodzinnej ziemi swojej. Lira jego umilkła w ostatnich czasach, ale pióro do końca nie wypadło mu z ręki; pisał i ogłaszał drobne powiastki prozą, przeznaczone dla ludu, zachęcał w nich do pracy, zbijał socyalistyczną propagandę. Widząc zbudzony pochop do opuszczania domowego gniazda i szukania zarobku po wielkich miastach, pokazywał zgubne skutki tych niewczesnych zachcianek. Wpływ jego najpomyślniejsze wydał owoce. Prowansale szczerze opłakują zmarłego poetę i błogosławią jego pamięć.

S. Duchińska.

ZAWIERUCHA.

PRZEZ

Marc-Mounier'a.

Przekład z francuzkiego

M. G.

(Dalszy ciąg.)

Zwracając się do Angielki, don Kristoforo dodał:

— Tak więc, cara signora, chcesz wziąć małego Toniela? Nie mówię „nie,” nigdy nie przeszkadzam ludziom do spełnienia dobrego uczynku. Ale czy pewna jesteś, że zrobisz dobrodziejstwo małemu Tonielowi?

— Czy jestem pewna? Nauczy się czytać, pisać, rachować, będzie miał ciepłe ubranie, czyste ręce, będzie jadł do syta i nauczy się poangielsku! Wybawię go z nędzy i ciemnoty.

— Sara! (może to być) —odparł don Kristoforo, splatając ręce na brzuchu i robiąc dużemi palcami młynka.—Pozostaje jeszcze pytanie, czy w ciepłem ubraniu, najedzony dosyta, czytając książki i mówiąc poangielsku, będzie szczęśliwszym i czy stanie się lepszym?

— Nie wątpisz chyba o tem, don Kristoforo. Wszystko złe wypływa z ciemnoty i z nędzy. Ten kraj można poprawić tylko zapomocą szkół i pracy.

— Sara! Inni są zdania, że nasze nieszczęścia wypływają z naszych potrzeb i że najszczęśliwszym jest ten, kto się może obejść jaknajmniejszem. Oto chłopiec który żyje szczęśliwy, mając jednę koszulę i garść suchych kasztanów na całodzienne pożywienie, a pani chcesz go przyzwyczaić do wełnianych ubrań i ciastek. Próbuj, cara signora, i niech ci Madonna dopomoże! Gdy po próbie osądzisz, że się pomyliłaś, przyjdź do mnie, a naradzimy się. I ja także pragnę szczęścia Toniela.

Miss Zawierucha rozstała się z zacnym kapłanem, żałując z całego serca, że jest on katolikiem i księdzem. Postanowiła go nawrócić i w tym celu zaczęła odwiedzać od czasu do czasu, w letnie wieczory na tarasie, na którym siadywał dla użycia chłodu.

Rankami zajmowała się Tonielem. Było to śliczne, dziesięcioletnie dziecko, które nie rozłączało się dotąd nigdy z matką; miało ono słodycz i łagodność dziewczynki, białą płeć i czarne kręcące się włosy, spojrzenie pięknych oczu czułe i smętne. Kiedy miss Zawierucha zabrała go do siebie, cały jego strój stanowiły stare spodnie ojca, obcięte do kolan, pasek zapinał się pod brodą dziecka, którego ręce wychodziły przez wyprute kieszenie. Angielka obstalowała dla niego ładne marynarskie ubranie z granatowej flaneli i słomkowy kapelusz opasany czarną wstążką z napisem: „Bellerophon.” Zapłacił to wszystko jakiś pułkownik Węgier. Toniel w nowem ubraniu złożył wizytę panu Pallone; miss Zawierucha postanowiła zbliżyć tych dwóch chłopców i wychowywać ich razem, licząc na wpływ współzawodnictwa i poczucie honoru. Pallone zażądał natychmiast od nowego znajomego jego ubrania; Toniel, który nie umiał niczego nikomu odmówić, oddał chętnie marynarski strój i powrócił do ojcowskich spodni; granatowe ubranie zostało sprzedane za kilka su handlarzowi ślimaków, a handlarz odprzedał je natychmiast okrętowemu chłopcu, który odpływał do Indyj Wschodnich.

Chłopcy zaczęli wspólnie naukę czytania, lecz młodszy nie objawiał żadnej. chęci do tego. Podczas gdy Angielka pokazywała mu abecadło, wpatrywał się bezmyślnie w okno pokoju ozdobione żółtemi firankami, a wychodzące na hałaśliwą ulicę. Po tygodniu Toniel miał już dosyć tej rozkoszy i uciekł do matki. Ale popsuł go pobyt u Angielki, suche kasztany drapały go w gardle, nie chciał już obracać kółka warsztatu, barłóg wydawał mu się obrzydliwy, a szczury przeszkadzały mu do snu. Więc postanowił porzucić grotę i szukać kawałka chleba na świecie. Nie umiał nic, lecz Pallone budził w nim wielkie uszanowanie, zawiązali więc wspólkę.

Mały wyruszał corano wcześnie na targ, gdzie kradł owoce, spełniał dane polecenia, otwierał drzwiczki powozów, śpiewał przed kawiarniami, prowadził cudzoziemców do grobu Wirgiliusza, lub też proponował im ażeby rzucili w morze miedzianą monetę owiniętą w papier, dawał nurka i ukazywał się na powierzchni, trzymając pieniądz w zębach. Poczem łup swój odnosił do Pallona, który, jak mówił, składał go do wspólnej kasy. Po złożeniu haraczu, Toniel był wolny i zabierał się do obiadu; nie jadał makaronu, którym żywi się mieszczaństwo, ani słonecznika lub kukurydzy stanowiącej pożywienie lazzaronów, gdyż był smakosz i łakomiec. Jadał więc tylko owoce, pomarańcze, figi, a największą rozkosz sprawiało mu gdy mógł, zanurzając całą twarz w arbuzie, najeść się, napić i umyć za jedno marne su. Potem przesypiał się, lecz nie na słońcu jak koledzy, tylko pod kolumnami gmachów lub w przedsionkach kościołów, bo lubił rzeźby, malowidła i dbał o piękność swojej cery. Przeżył tak pięć czy sześć lat, bez przygód, zadowolony z losu. Matka jego porzuciła robotę szpagatu i poszła do Eboli w prowincyi Salerno, gdzie zamieszkała. Toniel nie chciał z nią iść do Eboli, bo cóżby tam począł bez Pallona? Nocowywał czasami nad brzegiem morza i powiedział pewnego wieczora do miss Zawieruchy, która go znalazła rozciągniętego na piasku, kołysanego do snu pluskiem fal, wśród woni drzew cytrynowych, podczas ciepłej, gwiaździstej nocy i fosforescencyi fal morskich:

— Lepsze to wszystko, aniżeli czarne litery na białym papierze!

Angielka wzruszyła ramionami i rozpoczęła przemowę, chcąc go przekonać, że jeśli dzieci nie nauczą się czytać, Włochom zabraknie obywateli, przy czem Toniel zasnął na dobre.

II.

Pewnego razu miss Zawierucha zmusiła mnie, ażebym z nią poszedł zwiedzić przytułek Santa-Maria-Succure-Miseris.

— Mam pozwolenie prefekta — powiedziała. — Niełatwo tam wejść i nawet sam prefekt nie mógł się dostać, ale ja wejdę, choćbym miała uciec się do przemocy. Dlatego zabieram pana; jeżeli trzeba będzie uderzyć kogo lub mnie osłonić, liczę na pana.

Skłoniłem się ze skrzywieniem, które miało być uśmiechem. Przytułek ten przeznaczony był dla dziewcząt blizkich zbłąkania. Stanąwszy przed głównem wejściem, zastukałem, z wnętrza doszedł mnie odgłos jakby brzęczenia roju pszczół. Drzwi, któremi wstrząsałem z całych sił, otworzyły się nakoniec i ze dwanaście tercyarek ukazało się na progu. Tercyarki, mówiąc nawiasem, były robakiem toczącym wszystkie dobroczynne zakłady, żyły tam nic nie robiąc, często od lat dziecinnych, a zawsze aż do śmierci, zjadając wszystkie pieniądze przeznaczone na oświatę, na umoralnienie biedaków, na utrzymanie kalek i starców.

Zapytaliśmy o przełożoną.

— Chora — odrzekła jedna tercyarka.

— Wyszła — powiedziała druga.

— Jest z ojcem spowiednikiem — poprawiła trzecia.

— Czy można zwiedzić zakład?

— Trzeba zapytać wielebnego ojca.

— A gdzie wielebny ojciec?

— Wyszedł.

Musieliśmy odejść, lecz w godzinę potem miss Zawierucha postanowiła przyjść poraz drugi, wielebny ojciec był już teraz, kazał otworzyć i wprowadzić nas do pokoju, gdzie zaczął z nami rozmawiać o wazach etruskich i innych zabytkach starożytnych. Przyciśnięty niecierpliwemi pytaniami miss Zawieruchy, wyznał wkońcu, że było w przytułku sto trzydzieści siedm tercyarek i niewielka liczba dziewcząt, przeważnie z domu podrzutków, że zresztą niema tam nic ciekawego do zobaczenia. Usiłował zyskać na czasie, ażeby zdążyli pozamiatać sale. Wreszcie zgodził się pokazać nam podwórze.

— Widzieliście już państwo? — zapytał.

— Niezupełnie, a chcemy widzieć, chcemy! — zawołała dobitnie miss Zawierucha.

Wtedy ksiądz zwrócił się ociężale ku drzwiom i zapukał parę razy, w znacznych odstępach czasu, tercyarka otworzyła. Pozwolono nam wejść do sal przytułku, gdzie wszystkie nasze zmysły doznały udręczenia skutkiem brudów, złego powietrza, swędów kuchennych, pisku i robactwa rojącego się w tych stajniach Augiaszowych, których nie zdołano oczyścić dla braku czasu. Wszędzie tercyarki; gdzieniegdzie dziewczyna pokutnica pietrasiła jakieś jedzenie na przenośnej kuchence, ustawionej w kącie sypialni, bo refektarza nie było w przytułku. Niepodobna wybadać tych nieszczęśliwych, tercyarka odpowiadała za nie na wszystko, o co zapytaliśmy. Kilka było chorych, jedna obłąkana, jedna siedziała nieruchomo, skulona w kąciku, mizerna, wychudzona, z wielkiemi, pięknemi oczami, które przysłaniała mgła; zapytałem o jej imię, nazywała się Reginella czyli Regina. Musieliśmy zawrócić, bo okropna woń dusiła nas; spotkaliśmy na podwórzu wielebnego ojca.

— Widzieliście państwo? — zapytał szyderczo.

— Widzieliśmy, to okropne.

— Ba! można do tego przywyknąć!

Miss Zawierucha poleciała do prefektury i zwymyślała prefekta; następstwem tego było, że ksiądz i tercyarki pozostały podawnemu w przytułku, lecz Angielce dano pozwolenie zabrania ztamtąd Reginki.

— Chciałabym ją umieścić w przytułku dla ubogich — powiedziała do mnie, — teraz właśnie reformują ten zakład, chodź pan ze mną zwiedzić go.

Przytułek dla ubogich jest-to olbrzymi pałac, cały od frontu, zbudowany przez Karola III, który był dobrym władcą, lecz trochę szarlatanem. Nad głównemi drzwiami budynku widnieje napis: „Królewski przytułek dla ubogich z całego państwa." Brzmi to wspaniale. Ale i tu, jak wszędzie, rządy Burbonów popsuły wszystko. Przytułek wspaniały zewnętrznie, wewnątrz składał się z szeregu chlewów wilgotnych, brudnych i niezdrowych, w warsztatach żadnego ruchu, w szkółce żadnej nauki, milionowe dochody przeznaczone dla ubogich topniały w rękach urzędników. Miss Zawierucha wpadła do jednego z dyrektorów i obsypała go obelgami; poczciwiec odrzekł jej ze smutkiem:

— Co pani chce? jesteśmy zmuszeni do bezustannej walki ze szczątkami dawnych rządów, które tułają się w osobach dawnych urzędników, walczą do upadłego, bronią się od wszelkiego postępu, czepiając się wszystkiego, co pozostało po Burbonach, lubując się w tradycyjnym brudzie. Nikt nie chce pracować, nauczyciele ani uczniowie, wielcy ani mali, a nadewszystko tercyarki, które podnoszą krzyk przeciwko prześladowaniu. Dostawcy utrzymują, że biedni okradani są gorzej niż poprzednio, a jednak nowy zarząd, nie zmniejszając ilości światła, wypala mniej oliwy, a na ośmiu tysiącach koszul zaoszczędził trzysta ośmdziesiąt dziewięć łokci płótna. Łatwo sobie wystawić gniew szwalni! Niechęta, wywołana zawiedzioną chciwością, dała pochop do zbrodni; jeden z moich towarzyszów został zamordowany przez głuchoniemego, prawie przed drzwiami przytułku.

Miss Zawierucha, nagle wzruszona, porwała rękę dyrektora i zaczęła ją ściskać gwałtownie. Zacny człowiek zadziwił się niepomału tą oznaką zachwytu; ludzie z tego kraju i z tej epoki zaledwie po długich latach znajomości ośmielali się ucałować końce paluszków znajomej kobiety. Poprawił mankiet od koszuli i powiedział do Angielki, której zapewne pragnął się pozbyć jaknajprędzej:

— Widziałaś pani tylko oddział chłopców, zechciej obejrzeć i oddział dziewcząt.

Bardzo była rada zaproszeniu, a że dyrektor podobał się jej, starała się widzieć wszystko w dobrych kolorach, pomimo że zarządzały tu siostry miłosierdzia Francuzki. (Miss Zawierucha nienawidziła Francyi i katolików.) Starsze dziewczęta haftowały lub robiły sztuczne kwiaty, niegorsze od paryzkich. Głuchonieme mówiły i rozumiały naszę mowę. Nauczycielka z Pizy, której dziełem było to wszystko, opowiadziała nam uprzejmie, w jaki sposób uczy i jakie są wyniki tej nauki. Angielka zapaliła się natychmiast i zawołała, machając parasolikiem:

— Nauczysz mnie pani tego, postanawiam poświęcić życie uczeniu głuchoniemych. Jutro przyjdę na pierwszą lekcyą.

Dotrzymała słowa i przychodziła przez cały tydzień, poczem, zainteresowawszy się czem innem, zabrała się do ułożenia sprawozdania dla króla Wiktora Emanuela, a to z następującego powodu. Przyjęciu Reginki do przytułku robiono trudności; potrzeba było papierów, formalności, starań. Miss Zawierucha wrzała z niecierpliwości. Syndyk poradził jej udać się do króla, który właśnie wtedy przyjechał do Neapolu. Odmówiła stanowczo z tej racyi, że była stronniczką Garibaldiego, i nie mogła królowi przebaczyć bitwy pod Aspromonte.

— Ba! król jest większym przyjacielem Garibaldiego, niż pani! — odrzekł syndyk ze znaczącym uśmiechem.

Te słowa i ten uśmiech przekonały Angielkę, która natychmiast pobiegła do królewskiego pałacu. Szła tak prędko i śmiało, że warty nie śmiały jej zatrzymać, weszła na główne schody, popchnęła dwóch czy trzech kawalerów orderu Anuncyaty i dobiła się aż do drzwi sali, gdzie się odbywały posłuchania. Dopiero wtedy zapytano ją, czego sobie życzy?

— Proszę oznajmić królowi, że jest tu Angielka, która ma coś do powiedzenia.

Nie wiem jaka była jej mina, gdy to mówiła, wiem tylko, że wprowadzono ją natychmiast. Zdaje się, że sama narodowość angielska wystarczała do otwarcia wszystkich drzwi; przyjaciele wyspiarze nie poświęcili nawet jednego ładunku dla niepodległości Włoch, lecz nie zagradzali im drogi do Rzymu, a wiadomo że milsi nam zwykle przyjaciele, którzy nas nie krępują, od tych, którzy oddają przysługi.

Miss Zawierucha ujrzała przed sobą człowieka o bardzo naturalnem obejściu, z wyciągniętym kołnierzem od koszuli i olbrzymiemi wąsami, dochodzącemi aż do uszu, lecz po samym sposobie noszenia głowy można było poznać w nim króla.

Angielka rozpoczęła przemowę, w której na wstępie wspomniała o Reginie, potem o przytułku dla biednych, o głuchoniemych, o zamordowanym towarzyszu, o koszulach i księżach, następnie rzuciła się na manowce, na których wpadła na Lutra, Kromwella, Fra-Diavola, Tomasza Carlysle, loteryą, grotę powroźników, podatek od soli, więzienia celkowe, szkółki, towarzystwo opieki nad zwierzętami, Bóg zresztą jeden wie co jeszcze! Adjutant, który opowiadał mi o tem posłuchaniu, gryzł chustkę, ażeby nie wybuchnąć śmiechem, król wysłuchał wszystkiego bez mrugnięcia, a gdy Angielka skończyła, powiedział łagodnie:

— Bardzoby mnie pani zobowiązała, układając z tego memoryał dla mojego użytku.

— Natychmiast!

I zawróciła się ku drzwiom jak strzała, gdy król ją przywołał.

— Zapomniała pani o jednem...

— Nie sądzę — odrzekła, rozglądając się wokoło i macając po kieszeniach dla przekonania się czy ma chustkę, biblią i klucze na właściwem miejscu.

Król mówił dalej:

— Zapomniała pani o tej małej dziewczynce Reginie...

— Prawda, najjaśniejszy panie!

— Proszę zostawić mi swoje nazwisko i adres. Wieczorem przyślę to, czego pani żądasz.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z TYGODNIA

Ścigamy się, zlatujemy spadochronem, słuchamy popisów artystycznych i cyrkowych... waryujemy na rzecz „Dwunastu żon Jafeta" i „Ojca marnotrawnego," którego wierny konterfekt odmalowała ręka syna — oto wszystkie nasze zajęcia ubiegającego tygodnia. Po stronie przeciwnej rachunku pomieścićby można troskę o systematyczne drożenie chleba, który już obecnie dosięgnął cen, praktykowanych za kampanii krymskiej, smutek na wieści o ciągłem opadaniu Wisły i rozpacz zpowodu niepewności, azali naprawdę tramwaj świeżo zbudowany dosięgnie kiedy Czerniakowa (o Wilanowie przestaliśmy marzyć).

Tyle jest „spraw bieżących" naszego wielkomiastowego życia, które na teraz wre ruchem odśrodkowym, ruchem wywodzącym rzesze na błonia *willedżiatury* letniej. Stała się ona już dzisiaj obowiązującą dla wszystkich ludzi dobrze wychowanych i szanujących się, jak należy. Powinnością jest każdego gentelmena warszawskiego cztery miesiące w roku przemieszkać w budzie, która się zowie pałacykiem, domkiem szwajcarskim lub szaletem, mieć za najbliższych sąsiadów świnki, pić jaknajwięcej mleka fałszowanego w chwili spływania do szkopka i na rzecz usłużnych wieśniaków oddawać to, co się zaoszczędziło, lub to... czego się pożyczyło. Pozwala to opłacić należycie wszystkie rozkosze mieszkania letniego, pomiędzy któremi bardzo pokaźną pozycyą zajmuje możliwa w każdej chwili interwencya rabusiów i złodziei.

Warszawa, dzięki gorliwemu wypełnianiu tych obowiązków gentelmeńskich, pustoszeje coraz bardziej z dniem każdym i zaczyna być nudną... sto razy więcej niż zwykle. Człowiek „z ideałami," skłonny do snucia produkcyi fantazyjnej, radby z niej uciec jaknajdalej... choćby do tego Paryża, który na każdą chwilę miewa coś, co stanowi *cause célèbre*, magnes dla uwagi i szopkę dla zajęcia publiczności.

Oto na przykład sprawa tak zwanej „pani" Weiss. Pyszna sprawa, prawdziwy fajerwerk moralny w duchu *fin de siècle*, który w chwili ostatecznego pęknięcia zajaśniał najżywszemi, najbardziej oślepiającemi barwami! Tej sprawy pełne są dzienniki, nietylko francuzkie; i u nas echa jej błąkają się po pismach, z których dwa nawet ukazały *wierny* wizerunek „pani" Weiss. Wnosićby można z niego, że była to osóbka bardzo ładna, że, *eo ipso*, nie miała przyczyny być złą, ani okrutną, że raczej na

widok krwi lub noża mogłaby dostawać spazmów. Tymczasem było zupełnie inaczej.

Pani Weiss wyszła zamąż z miłości, została matką dwojga dzieci, była szczęśliwą i *zacną*... ale na drodze jej zjawił się ktoś, co szczęście jej zburzył, rzucając w serce i sumienie trujący posiew występku. Piękna pani, za namową tego kogoś, poczęła systematycznie truć swego męża! Wydało się to, żonę zamknięto w więzieniu, sędziowie przysięgli wyrokiem sprawiedliwym skazali ją na długą i haniebną pokutę, która tak przeraziła jej zbrudzony umysł, iż pani Weiss, korzystając z czyjejś usłużności, zażyła podaną sobie truciznę i... zakończyła swój marny, nędzny żywot.

Dotąd najprostsza zbrodnia, pożywny pokarm dla talentu oskarżyciela publicznego, ale można się od niej odwrócić ze wstrętem i nie wchodzić w jej oburzające szczegóły. Najciekawszem jest jednak pęknięcie tego krwawego fajerwerku. Zbrodniarkę pochowano uroczyście, pogrzebowi towarzyszyły stutysięczne tłumy, nad jej mogiłą *pastor* (była protestantką) rozczulił swą owacyą obecnych tak bardzo, że świeży grób zasypano kwiatami!

Naco, dlaczego?...

Czy już dawną moralność wywrócono podszewką dogóry, fundamenta zamieniono w komin na dachu, a śmiech w łzy i naodwrót? Co znaczą kwiaty, pokrywające mogiłę trucicielki, żony która mordowała męża, ojca dzieci swoich, matki, co grób własny uczyniła widomym znakiem śmierci moralnej, upadku i zbrodni? Niepodobna przypuścić, aby Paryż posiadał sto tysięcy zdecydowanych waryatów lub idyotów, nieumiejących rozróżnić co białe, a co czarne! Co do mnie, gotów jestem wnioskować, na pociechę serc obrażonych posypywaniem hańby kwiatami, że w tym ultra-postępowym fermencie, jaki obecnie pieni się i wre w ludzkości, szumowiny spływają na wierzch i bywają najwidoczniejsze. Ale o tem nie należy zapominać, że to istotnie tylko szumowiny i że poza niemi stoi ludzkość, która jeszcze wie dobrze, co jest zbrodnią, dopraszającą się skazania, a co zasługą, godną kwiatów.

Skoro jesteśmy w Paryżu, zajrzyjmy do Włoch, trapionych obecnie trzęsieniem ziemi. Trzęsienia te idą w kierunku od zachodu ku wschodowi, narażając fundamenta miast, wypędzając strwożonych mieszkańców w pola... Obecnie dają się uczuwać i w południowych prowincyach Austryi, która nie ma wcale powodu cieszyć się z objęcia jej programem katastrof. Ma dosyć burz, gradów, obrywania się chmur, zalewów i szkód.

Wracając do Warszawy, mogę was upewnić, łaskawe czytelniczki, że się trzęsienia ziemi obawiać nie potrzebujemy. Mieszkamy na grubej, bardzo grubej skorupie, która niełatwo ulega wewnętrznym szarpaniom. Jeżeli tedy posłyszycie jaki huk, nie lękajcie się — to tylko echa kopyt końskich z mokotowskiego „*steple-chasse...*”

Maryusz.

Z chwili bieżącej.

* **Szpital Św. Jana Bożego** pozostanie filią wielkiego szpitala obłąkanych w Tworkach; zamianowana już została osobna komisya, mająca się zająć zbadaniem dzisiejszego stanu szpitala i nakreśleniem planów potrzebnych w nim przeistoczeń. Wspominamy o tem głównie dlatego, że uwzględniając obiegające pogłoski, wyraziliśmy na tem miejscu obawę, iż dawny szpital oo. bonifratrów inne otrzyma przeznaczenie.

* **Wyścigi konne** rozgrywają się w tej chwili na polach mokotowskich. Nie myślimy tutaj zdawać szczegółowego z ich przebiegu sprawozdania, ani śpiewać odyssei Fanfaronów, Benthererów, Redut, Tantich, Heronów i t. d. Nie mamy na to ani miejsca, ani fachowych kwalifikacyj, a w totalizatora nie grywamy.

O wyścigach wogóle u nas dałoby się powiedzieć dużo złego; to złe atoli wyśpiewują tak gwałtownie wszyscy, powołani i niepowołani, na wszystkie sposoby i na wszystkie tony, że aż uszy od tego puchną i niedobrze się robi. Nie chcąc być kozą, która na pochyłe drzewo skacze, nie łączymy swego głosu do tego chóru potępiaczy; owszem, choćby *par ésprit de contradiction*, który zwykł się budzić w pewnych umysłach wobec wszelkiego owczego pędu, mamy ochotę wziąć nieco w obronę nasze „wyścigi.” Bądźcobądź, nie trzeba zapominać, że nasze „Towarzystwo wyścigowe” dało nam kilka „wystaw rolniczych.” Zapewne, wystawy te nie odpowiedziały w zupełności swemu zadaniu; nie wywarły doniosłego wpływu na poziom i położenie naszego rolnictwa; wadą ich największą było może to, że się odbywały zaczęsto, ale nie można zapoznawać intencyi, które ich urządzeniem kierowała. Gdyby też nie one, rolnictwo nasze w ostatnich czasach nie byłoby dało żadnego widomego, publicznego znaku życia.

Zresztą wyścigi, mianowicie o ile w nich „panowie jadą,” są może jednym z ostatnich środków, chroniących młodsze pokolenia pewnych sfer od zupełnego spapinkowacenia. Koniec końcem, sadzenie przez rowy i płoty wymaga jeżeli nie odwagi, to pewnego animuszu, wyrabia w człowieku pewną tężyznę, o którą dziś na innych drogach tak trudno. Wprawdzie dawniej robiło się takie rzeczy bez ostentacyi, dla przyjemności, albo gdy tego wymagała potrzeba, ale dzisiaj dobrze, że choć popis publiczny staje się bodźcem do podobnej imprezy. Ciekawa rzecz, jakby w takim popisie wyglądał nie jeden z tych Jowiszów, rzucających na wyścigi gromy bezwzględnego potępienia, a jednak za każdym razem śpieszących na łeb na szyję na pole wyścigowe, ale tylko poto, żeby się przypatrzeć, albo — niech to będzie między nami — żeby zagrać w totalizatora...

Wyścigi ostatecznie są może dla nas zabawą rzeczywiście zakosztowną; ale, gdyby zwłaszcza „panowie” więcej „jeździli,” i gdyby można łeb skręcić totalizatorowi, byłyby zabawą prawdziwie męzką na dzisiejsze czasy. Wina tego, że one nie są u nas tem, czem gdzieindziej, może nie ze wszystkiem na nas spada. Szkoda zapewne zmarnowanego na nie grosza, ale można być prawie pewnym, że ci, co tracą pieniądze na konie, gdyby ich nie tracili na nie, traciliby je na inne rzeczy, dużo gorsze częstokroć. Jazda konna daje przynajmniej zdrowie i męzką siłę, która często bywa matką a przynajmniej siostrą energii charakteru, siłę, której nie dadzą ani karty, ani pijatyka, ani bardziej kosztowne, a mniej szlachetne przyjemności...

* **Elektryczna pomywaczka.** Wynalazkom Edisona niema końca; obecnie wynalazł „elektryczną pomywaczkę” czyli przyrząd do mycia talerzy. Oczywiście przyrząd odznacza się ułatwieniem i szybkością roboty; przy jego pomocy dziecko może 10 tysięcy talerzy umyć na dobę, co znaczy około 15 talerzy na minutę.

Naturalnie, że wynalazek ten, jako amerykański, w amerykańskich też tylko stosunkach może praktyczne znaleźć zastosowanie. Może być z korzyścią zastosowany w olbrzymich tamtejszych hotelach, w których tysiące osób jada codziennie; w gospodarstwach prywatnych, gdzie najwyżej kilkadziesiąt talerzy dziennie umyć trzeba, praktyczniejszym będzie zawsze przyrząd z warkoczem, który nad edysonowskim tę jeszcze wyższość posiada, że się ostatecznie i do innej da użyć posługi.

* **Ze spraw jedwabniczych.** We środę dnia 3 b. m. rozpoczęły się wykłady teoretyczne o hodowli jedwabników w Bogucinie, własności znanego hodowcy jedwabników i członka zarządu Towarzystwa jedwabniczego, pana Boguckiego. Wykłady znajdą naturalnie wyborne objaśnienie w praktykowanej na miejscu na najobszerniejszą w naszym kraju skalę hodowli. Przypominamy, że obecnie do samego Bogucina dojechać można tramwajem.

W Lublinie, dzięki staraniom pana Dominika Maślakiewicza, członka-korespondenta warszawskiego Towarzystwa jedwabniczego, władze miejscowe oddały ogród miejski, za rogatką warszawską położony, półtora morga objętości mający, pod uprawę drzew morwowych. Pierwsze drzewka na tej plantacyi już obecnie zasadzone zostały.

* **Pani Helena Rogozińska**, znana w beletrystyce naszej pod pseudonimem *Hajoty*, po powrocie z Afryki zamierza mieć odczyt na rzecz Towarzystwa osad rolnych, którego treść stanowić będą opisy miejsc i ludzi, oraz wspomnienia z pobytu pod afrykańskiem niebem. W szeregu tegorocznych odczytów „na osady” będzie to pierwsza prelekcya, mogąca obudzić zajęcie szerszych kół publiczności; dlatego też, jak również ze względu na znaną powszechnie w mieście i pod każdym względem interesującą osobistość prelegentki, spodziewać się należy, iż odczyt pani Rogozińskiej sporym funduszem zasili kasę Towarzystwa.

* **Nowa szkoła rzemiosł** ma powstać w mieście naszem z inicyatywy okręgu naukowego warszawskiego. Program tej szkoły stosować się będzie do normy dla szkół rzemieślniczych przez ministeryum oświaty zatwierdzonej. Kurs nauk będzie pięcioletni. Termin otwarcia zależeć będzie od wyznaczenia przez władzę wyższą odpowiedniego funduszu.

* **Jan Galasiewicz**, sympatyczny autor kilku utworów scenicznych ludowych i dzielny przedstawiciel typów ludowych na scenie, wyszedłszy z długiej i ciężkiej choroby, w tych dniach ukazał się w „Wicku i Wacku,” w roli Rotnickiego, serdecznie witany przez zawsze łaskawą nań publiczność. Życzymy mu, żeby ten występ był zadatkiem długiej jeszcze i pomyślnej podwójnej jego karyery, jako autora i jako aktora.

* **Paderewski**, pożegnawszy Paryż koncertem, który miał się odbyć w sali Erarda na cel dobroczynny, dnia 23 Maja, udaje się w podróż artystyczną po Ameryce.

G. Cz.

Odpowiedzi od redakcyi.

Pani Maryi Wasil. W Warszawie znajduje się tylko szkoła rysunkowa, która przygotowuje bardzo dobrze do nauki malarstwa. Chybaby lekcye prywatne u jednego z malarzy...

P. Annie w Warszawie. Miasta, o które pani zapytuje, zupełnie nie znamy i nie moglibyśmy z tego powodu udzielić wskazówek sumiennych i wystarczających. Ogólniki, pochwycone ze słyszenia, w razach takich na nic się nie przydadzą.

Pani Gł. w Wodzianej. List i pieniądze odebrane, przeznaczenie ich spełnione, ale narazie odpowiedzi i pokwitowania za pośrednictwem druku dać nie byliśmy w możności.

☞ Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

FABRYKA KUFRÓW, WALIZ I TOREB T. L. BREYMEYER WARSZAWA KRÓLEWSKA Nr 1 róg KRAK.-PRZEDM. POLECA WSZELKIE PRZYBORY DO PODRÓŻY, KONNEJ JAZDY I POLOWANIA,
WÓZKI, WELOCYPEDY, PANTOFLE I WYROBY KOSZYKARSKIE. 45 9—12

BRACIA LESSER, Rymarska 12.

POLECAJĄ świeży transport **PARASOLEK** ZAGRANICZNYCH bardzo gustownych w wielkim wyborze.
CENY PRZYSTĘPNE.

Po rs. **10**

Pierwszy zakład w kraju, który idąc za postępem, wprowadził u siebie odpowiednie ulepszenia, dające mu możność powiększania małych fotografii do naturalnej wielkości, w przeciągu tygodnia, po rubli **10**.

„ORION" FOTOGRAF 27. Nowy-Świat 27.



MAGAZYN WYROBÓW ZŁOTYCH, SREBRNYCH, PLATEROWANYCH i BRONZOWYCH
J. K. GŁAZIEWICZ
WARSZAWA. UL. SENATORSKA Nr. 10.

FARBIARNIA PAROWA, PRALNIA CHEMICZNA I ZAKŁAD DEZYNFEKCYJNY (Kamera)
Ch. GEBER,
(Grochów, Telefon Nr 164.) 3911—16

Farbuje i czyści wszelką **garderobę męzką i damską**. Farbuje na sposób francuzki całkowite sztuki nowych materyi przędzę jedwabną dla panów fabrykantów i kupców, oraz drukuje desenie nowym systemem na wszelkich materyałach, na sukniach pranych i farbowanych.

Magazyny w Warszawie: Niecała № 9 (telefonu № 328), Marszałkowska № 116, Nowy-Świat № 49, Leszno № 4, Dzika № 9 i Praga Brukowa № 32.

Bracka 20. Po rs. 50!!! Piękne Serwisy Stołowe.

Na 12 osób z najlepszej porcelany Krajowej, zdobne w piękne kwiaty ręcznie malowane, na żądanie z monogramami lub z herbami, składające się z najstępujących przedmiotów: **36 talerzy płaskich, 12 głębokich, 12 deserowych, 12 kompotowych, 12 par filiżanek do herbaty, 12 par do kawy czarnej, 1 waza, 4 półmiski owalne, 12 okrągłe, 1 do śledzi, 4 salaterki, 2 sosierki, 1 kabaret do konfitur lub kosz do owoców, 2 musztardniczki, 2 solniczki, 1 maselniczka lub imbryk. Razem 116 sztuk. Serwisy stołowe** w dobrym gatunku, w prześliczne desenie lub w kwiaty malowane. składające się **ze 114 sztuk po rs. 32**; za dopłatą rs. 10 do serwisów tych dodaje się 86 sztuk szkła kryształowego. **Serwisy do śniadania** z 30 sztuk złożone, w kwiaty malowane **po rs. 15. Serwisy do kawy lub herbaty** na 12 osób **z 16 sztuk po rs. 6. Garnitury na umywalnie** kolorowane od rs. 3 kop 60. **Wazony do kwiatów doniczkowych** (Cachepôt), b. ładne po rs. 3 za parę. **Wazony do bukietów** w wielkim wyborze, para od kop. 50 **Garnitury na toaletę. Serwisy do likieru. Kosze do ciast**, oraz wszelką porcelanę malowaną, po cenach najniższych sprzedaje

Główny Skład i Malarnia Porcelany
RYSZARDA FIJAŁKOWSKIEGO,
w Warszawie, ul. Bracka Nr 20, drugi dom za Chmielną, w lokalu prywatnym.

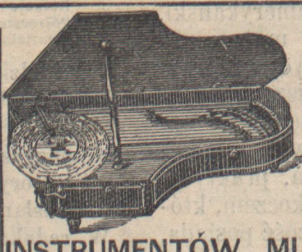
KUPNO i sprzedaż używanej Garderoby damskiej oraz innych przedmiotów jak na przykład Bielizny, Firanek, Serwet i t. p. 63—3—8
Trębacka № 3 (I piętro).

Fabryka Parasoli **A. KWIATKOWSKIEGO**, zaopatrzyła Magazyny swoje Ś-to-Krzyzka Nr 38, Nowy-Świat Nr 49, w wielki wybór parasolików damskich po cenach fabrycznych.
Przyjmuje się reperacyę i pokrycia parasoli. 34 7—10

KIO-CZI
66—2—6

Niezawodny środek na pluskwy
A. Nowakowski.
BIELAŃSKA Nr 3.

KAUCYONOWANE
Biuro Nauczycielskie
WALERYI MAX
ulica hr. Kotzebue Nr 2, w Warszawie.
Rekomenduje Nauczycielki, Nauczycielki i Bony. Na zamówienie sprowadza Bony, Guwernantki z Genewy i Paryża. 2—3



Udającym się na letnie mieszkania poleca ***najtaniej*** Arystony, Herofony, Szkatułki samogrające etc.

FABRYKA INSTRUMENTÓW MUZYCZNYCH
D. Feigenbaum,
Nowy-Swiat Nr 61 (drugi dom od ulicy Ś-to Krzyzkiej) I-sze piętro. 2—3

Dnia 1 Lipca r. b. otwartą zostanie szkoła haftu białego, kolorowego, złotem i srebrem oraz kroju. Ulica Pańska Nr 18 miesz. 21 (dom Fiorentinich) **Pracownia MARIE**. Zapis uczennic od 10 rano. 65 3—12



TANIO TANIO
BIDETY, KLOZETY
25—3—3
W SKŁADZIE
Ad. Kempińskiego,
Senatorska 22 (róg Bielań.)
SPŁATA TYGODNIOWA

EAU VÉGÉTALE

do farbowania włosów, pod względem swych zalet nie mająca równej sobie.
Bez zawodu nadaje siwiejącym włosom PIERWOTNY KOLOR, skutek już po pierwszym użyciu. Nie brudzi skóry i nie plami bielizny POBUDZA POROST WŁOSÓW i niszczy łupież. Pudełka blado niebieskie z podpisem wynalazcy i takie tylko są prawdziwe. Cena pudełka na miejscu rs. 2 kop. 50. Z przesyłką w Królestwie rs. 3, w Cesarstwie rs. 3 kop. 50.
Skład główny w zakładzie fryzyerskim
T. MARKOWSKI, Bielańska Nr 2,
w Warszawie, 53—3—6
u fryzyerów w m. Wilnie u Gordona, Lublinie u Rozdoby i Grafczyńskiego, w Piotrkowie, u Różyckiego, w Łodzi u Smosarskiego.



Filja Nowy-Świat 69.

A. TURCZYŃSKI
JUBILER.
Warszawa, ulica Czysta Nr 2.

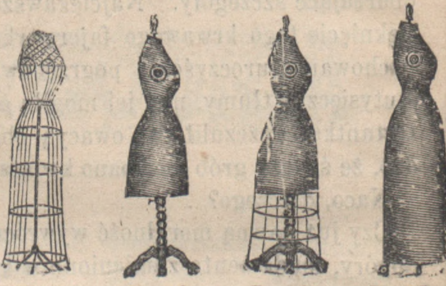
Ma zaszczyt zawiadomić J. W. i W. W. Klijentów swoich, że z d. 15 Czerwca 1891 r. **Magazyn i Pracownię przeniósł pod Nr 6, przy tejże samej ulicy.** Przy tej sposobności uważam za obowiązek podziękować **J. W. i W. W. Paniom i Paniom** za dotychczasowe zaszczycanie mnie ich łaskawem zaufaniem, na które jak i dotychczas starać się będę zasługiwać osobistą sumiennością i fachowem uzdolnieniem.

Z szacunkiem
A. TURCZYŃSKI, jubiler
6. Czysta 6. 75—1—1

LODOWNIA
51—5—6
E. JASZEWSKIEGO
Marszałkowska 52, róg Pięknej.

dostarcza lód do lodowni pokojowych, na warunkach lat poprzednich, t.j. począwszy od pół puda dziennie. Dostawa punktualna. Ceny przystępne. Rachunki regulują się zdołu 1-go każdego miesiąca. Lód zdatny do użytku wewnętrznego.

Fabryka
tkanin metalowych i wyrobów drucianych
E. Chrzanowskiego
w Warszawie, ulica Bielańska Nr 16.



Rs. 3. Rs. 10. Rs. 12. Rs. 15.

Z powodu ulepszonych maszyn i powiększenia ich liczby do 14, fabryka obniżyła ceny tkanin drucianych od 45 kop. łok. kwadratowy. Kilka tysięcy łokci siatki ochraniającej od owadów, much, komarów w różnych kolorach przygotowałem po 40 kop. łokieć. Przybory pszczelnicze i maski najpraktyczniejsze dla letników od kop. 60; polecam również **Manekiny figury paryzkie** (papier muché) i druciane do upinania sukien od rs. 2. Pudła do zanoszenia sukien na sposób paryzki od rs. 6, opakowanie i wysyłka rs. 1. 61—1—4

Magazyn Ubiorów Dziecinnych
A. ALIMANT,
w Warszawie, Niecała Nr 12.

Poleca na sezon bieżący, wybór ubranek dziecinnych, oraz wyrobów dżetowych, po cenach najniższych. Wszelkie zamówienia wykonywa szybko i dokładnie, podług ostatnich żurnali. 74—1—6

Zawiadomienie.

Zarządzający od lat sześciu filią W-go F. Schlagera na ulicy Senatorskiej № 6 z dniem 8 Lipca b. r. zakłada własną fabrykę rękawiczek i magazyn galanteryjny, na ulicy Trębackiej róg Nowo Senatorskiej obok domu W-ej Szejblerowej.
69—2—3 ***S. CZERWIŃSKI.***

Cena rs. 5, zniżona na rs. 2.
Pisma Gabryeli
(Narcyzy Żmichowskiej).

Wydanie zbiorowe w 5 tomach z życiorysem autorki, skreślonym przez D-ra **Piotra Chmielowskiego**, sprzedaje z pozostałej małej liczby egzemplarzy, po cenie znacznie zniżonej. Księgarnia H. J. Rosenwejna, Marszałkowska Nr 114 w Warszawie. Cena rs. 5, zniżona na rs. 2, z przesyłką rs. 2 kop. 50. 57—3—3

W Wilnie
MAGAZYN MÓD
MARYI Ł.
dawniej ***J. Bogdańskiej,***
ulica Ostrobramska.

Poleca damskie kapelusze na sezon następujący CENY TANIE, oraz damską i dziecinną bieliznę po cenach fabrycznych. 62—2—5



Pince-nez, okulary, najcelniejszych fabryk (mogą być za pomocą optometru zastosowane). Lornetki damskie długie, teatralne, Termometry, Barometry, Woreczki hygieniczne, zabezpieczające i inne wyroby optyczne poleca „najtaniej" optyk **Julijan Dreher, (Szpitalna Nr 6)**. Na prowincyę za zaliczeniem. Przyjmuje reperacyę. 8111—12

Дозволено Цензурою. Варшава, 31 Мая 1891 г.

Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna №. 26.

Dodatek.

Opis do N-ru 23.

(*Dokończenie.*)

N. 15—16 i 22. Ubranie strojne z upięciem à panier.

Wełna lama blado-zielona i jasno-różowa materya jedwabna gros grain składają się na strojną suknię przedstawioną w całości na ryc. 26. Spódnicę podszewkową z lekkiej zielonej materyi można dopasować podług brytów a—c na ryc. 26 i od dołu pokryć materyałem na 20 c. szeroko. Przód sukni i długi tren krają się z wełny podług *a* i *b* na r. 16, na której widać jak bardzo skośnie ścięty jest środek trenu, przez co fałdy bardzo zręcznie układają się. Pod tren w całej długości poddana flanelka, u dołu zaś szerokie podszycie z materyi jedwabnej; na spódnicy podszewkowej przyszywa się balejezę. Górny brzeg zbiera się w fałdy podług znaczków na a i b; w drobne głębokie zęby wycięty dolny brzeg przedniego bryta, podłożony jest 8 c. szeroką listewką z różowej materyi również w zęby wyciętą. W jednym ciągu z paniers krają się kliny spływające wzdłuż trenu, dopasowane z wełny na podszewce jedwabnej podług *c* na r. 16. Górny brzeg do 58 zmarszczony, od dwukropka do 32 złączony z przodem, zaś kontrafałda złożona między 58 i 76 przyszywa się przy krzyżyku; brzeg przedni pasując gwiazdkę do gwiazdki odwinięty jest w górę, przyczem uwidacznia się różowa podszewka. Do 85 brzeg wszywa się gładko w pasek od sukni, dalej do 112 zbiera w podwójną kontrafałdę, która zachodzi na brzeg stanika i spięta jest na haftkę z fałdą z drugiego klina, pod kokardą z różowej wstążki. Dolna część klinów spada luźno na tren, odsłaniając w fałdach materyę i wełnę, a wązki prosty brzeg dolny przyczepia się niewidocznie do sukni. Stanik z krótkim bawetem, wycięty z przodu kwadratowo, zapina się środkiem pleców pod przybraniem przechodzącem skośnie przez obie połowy, zakończonem haftowanym szlakiem 8 c. szerokim. Przody szeroko haftowane mają rodzaj ranwersów idących od ramion i schodzących się na środku, ułożonych ze skosu 21 c. szerokiego różowej materyi, podszewkowanej wełną zieloną. Tylne brzegi zmarszczone giną pod przepięciem z różowej materyi, tworzącej zarazem krótkie rękawki. Haft dany i u dołu przedniego bryta, wykonany ściegiem płaskim jedwabiem z dodaniem złota.

N. 17—20. Kapa na szezlong lub kołdra podróżna. Robota szydełkowa.

Materyał: włóczka angielska w trzech cieniach brązowych.

Tło składa się z oddzielnych pasów po 101 c. długich, otoczonych wokoło szerokim szlakiem—całość liczy 143 c. długości a 129 c. szerokości. Próbki roboty podają w naturalnej wielkości r. 18—20. Szersze pasy (r. 19) wykonane z najcieńszej włóczki przedstawiają na zwykłem tunetańskiem tle kratkę z wypukłych muszek. Zaczyna się pas od 21 o. przerabia dwa rzędy tunetańskie, a w trzecim robi pierwszą muszkę. Przerobiwszy dziesięć oczek tła potrzeba w 10, 11 i 12 podłużną pentelkę pierwszego rzędu zająć po jednym słupku i wszystkie trzy w górze przerobić razem jedną pentelką. Jedenaste o. tła (wypadające pod drugim słupkiem) opuszcza się a dalsze robią się jak zwykle. Wracając w robocie od ręki lewej ku prawej pentelki od trzech słupków złączonych przerabia się tak jak inne o. Ażeby utworzyć kratę dalsze rzędy muszek posuwają się zawsze o dwa oczka na prawo i na lewo w pierwszej połowie kraty a zbliżają do siebie w drugiej. Szesnaście kratek wypada wzdłuż pasa, który zakończa się oczkami łańcuszkowemi. Ciemne pasy połączone są z sobą wązkiemi, z włóczki średniego cieniu, 10 o. szerokiemi, na zwykłem tle tunetańskiem ozdobionemi dwoma prążkami ze skośnych sł., wykonanemi podług ryc. 18. Po dwóch rzędach tunetańskich, w trzecim odrabia się pierwszy skośny sł.; przerobiwszy trzy oczka, zarzuca się nitkę na szydełko i zająwszy pentelkę w skośnym kierunku za nitkę podłużną w pierwszym rzędzie, przerabia skośny słupek tak jak zwyczajny; po trzech oczkach tła wypada drugi sł., wykonany podobnie jak pierwszy. Słupki takie robią się w każdym rzędzie i zajmują kolejno za oczko podłóżne poprzednich rzędów, jak to r. 18 przedstawia dokładnie. Po skończeniu dwóch takich pasków trzeba je przyrobić do szerokich pasów, dając od lewej strony rząd oczek nizkich, środkiem zaś wrabia się jako połączenie pas ściegu gwiazdkowego z najjaśniejszej włóczki. Zaczyna go się 1 sł. w pierwsze oczko brzeżne pasa i zajmuje u góry i u dołu słupka dwie pentelki na pierwszą gwiazdkę, trzecią pentelkę zająć także w pierwsze o., czwartą w następne oczko. Następnie pięć pentelek będących na szydełku przewlec jednem oczkiem i przerobić go na zakończenie muszki. W dalszym ciągu roboty, nabierając znów cztery pentelki zajmuje się pierwszą w o. pow., drugą za górną nitkę ostatniej pentelki, trzecią znów w oczko, a czwartą w następne o. brzeżne pasa. Dwa w ten sposób obrobione pasy, łączą się z sobą z prawej i lewej strony rzędem o. łańcuszkowych, ażeby się nie pruło zwyczajne zeszycie. W obrobieniu brzeżnem, jak to widać na r. 20, dany naprzemian rząd ząbków szydełkowych z rzędem ściegu gwiazdkowego. Pierwszy rząd ząbków odrobiony jest cieniami zastosowanemi do pasów t. j. ciemnym przy ciemnym a jasnym przy jasnym pasie. Robi się naprzemian 1 o. ść. i 5 sł. zajętych co trzecie oczka pasa; na rogach powinien wypadać cały ząbek, z poprzecznej strony przez szerokość ciemnych pasów wypadają trzy ząbki, na dwóch jaśniejszych cztery, jak to widać na r. 17. W rzędzie gwiazdkowym zajmuje się zawsze przez cały wierzch słupków robiąc 1 o. ść. przy trzecim sł. poczem podług r. 20 nabiera się na szydełko 7 pentelek, przewłócząc je między sł. i przez oczko ściśle i wszystkie ośm będące na szydełku przeciąga się jedną pentelką, podług kierunku strzałki na r. 20, poczem przerabia się oczko łańcuszkowe na zakończenie. Dalej robi się 1 o. ść. i znów jak poprzednio nabiera pentelki; ryc. 20 jaśniej niż opis przedstawia wykonanie roboty. Na modelu szlak liczył cztery rzędy jasne, 6 ciemniejszych i 8 najciemniejszych.

N. 21. Koronka z siatki gipiurowej.

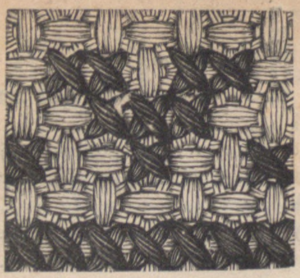
Odpowiednia na zakończenie firanek, serwet i t. p. wyszywa się na siatce robionej prosto, której tło zasnute ściegiem zwanym *point d'esprit*. Deseń składa się z dużych rozet wyszytych ściegiem cerowanym *point de toile*, na których efektownie odbijają wypukłe ośmiopromienne gwiazdy. Nad rozetami dane małe gwiazdki wyszyte podwójną nitką; takież gwiazdki i pajączki odznaczają zęby dolne, odziergane z brzegów. Odpowiednio do czego ma służyć, koronka wykonywa się białoszaro lub kolorowo z dodaniem nitki złotej.

N. 23—27. Ubranie ślubne.

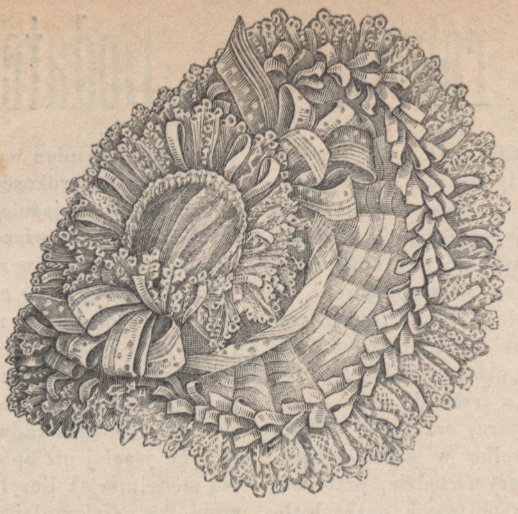
Zamiast odcieniu żółtawego crême moda powróciła w użycie dla młodych osób najwłaściwszy do uroczystości kolor czysto biały na ubranie ślubne, z materyałów zaś satin merveilleux i piękna nowego rodzaju bengalina modniejsze są od atłasu lub brokatu. W ubraniu ślubnem najważniejszy jest wspaniały i poprawny układ trenu, co ułatwi wymiar załączony na r. 26. Spódnicę podszewkową trzeba krajać z małym trenem z lekkiej materyi, podług brytów a, b i c; *a* i *b* pokrywają się gładko materyałem i podszyte są od dołu sztywnym muślinem na 50 c. wzdłuż, bryt c. kraje się tylko z materyi podszewkowej i cały podszywa muślinem. Tren składa się z brytów bocznych *d* i środkowego tylnego bryta, wymierzonego przez połowę na literze *e*. Pod cały tren daje się miękką flanelkę a do połowy długości od dołu polszycie z materyi jedwabnej. Cienkie linje oznaczają miejsce przyszycia taśmy utrzymującej fałdy, 70 i 80 c. długiej, przyszytej podług r. 25. U dołu trenu dane podgarnirowanie 59 cent. wysoko, złożone naprzemian z plisowania muślinowego, oszytego koronką, 22 c. szerokiego i z równie szerokiej plisowanej koronki, powyżej idzie wstążka jedwabna 4 c. szeroka. Suta kokarda z takiejże wstążki przyszyta podług r. 25 w pośrodku trenu służy do zręcznego podniesienia trenu i trzymania go w ręku wsiadając do powozu. Dla połączenia trenu z suknią potrzeba dodać do niego od gwiazdki do dwukropka kliny f, przykrajane z podwójnie wziętej materyi, z muślinem podłożonym w środku i takowe od krzyżyka do punktu przyszyć na bocznym brycie sukni (*b*). Górny brzeg przodu i bocznych brytów ma zaszewki zastosowane do figury; tylne bryty spódnicy podszewkowej są zmarszczone, tren zaś układa się w dwie głębokie kontrafałdy do środka podwójne, do boków pojedyńcze, które zachodzą całkowicie na kliny f. Zakończenie górne stanowi skośny kawałek materyi podszyty jako wypustka ze sznureczkiem, przykryty paskiem ze skośnej materyi wyciętej z brzegów w ząbki, złożonym w fałdę i zapiętym z tyłu rozetą, podług r. 23. Zupełnie gładkie przody stanika zachodzącego pod spódnicę, zapięte są skośnie i podłużnie wycięte w górze



N. 1. Okrycie mantylowe. Patrz ryc. 27. Krój N. VII. N. 2. Suknia z krótkim stanikiem.



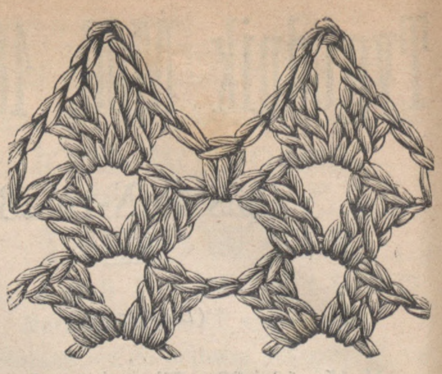
N. 3. Wyszycie krzyżykowe do ryc. 9.



N. 6. Kapelusz ogrodowy dla panienki. Krój N. XIII.



N. 4. Torebka na przybory kąpielowe. Patrz ryc. 5 i fig. 76.



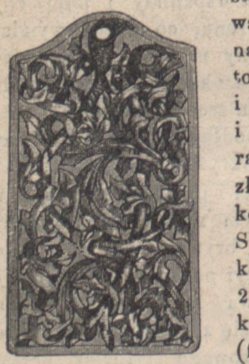
N. 5. Robota szydełkowa do ryc. 4.

Materyał zwierzchni pleców złożony jest środkiem w kontrafałdę 8 c. szeroką (patrz r. 23). Dolne zakończenie przodu sukni stanowi suta riusza przedstawiona oddzielnie na r. 24; składa się ona z kawałka materyi 17 c. szerokości, wyciętego w ząbki 2½ c. szerokie, ułożonego w skośne fałdy potrójne; wierzchem dana riusza z gazowej wstążki 9 c. szerokiej, układana w poczwórne kontrafałdy. Środkiem przodu i wzdłuż szwów bocznych idą girlandy mirtowe z kwiatem pomarańczowym, na wierzch narzucony bryt illuzjowy, lekko przymarszczony—takież przybranie na staniku spięte bukietem. Welon illuzjowy spadający na twarz, przyciśnięty wiankiem ślubnym, w środku którego podniesiony jest nakształt korony.

Opis do N-ru 24.

N. 1 i 27. Okrycie mantylowe Krój N. VII.

Eleganckie czarne okrycie odrobione jest z materyału koronkowego (chantilly) i czarnego jedwabnego repsu; przyozdobienie stanowią duże szlifowane płaskie dżety naszyte na materyi, torsadka z perełek i frendzla. Przody i plecy są tylko na ramionach od P do Q złączone szwem, z boków łączą je od R do S i od dwukropka do krzyżyka wstążki po 21 c. długie. Koronkowe części okrycia (fig. 45a) mają na ramionach podłożone krótkie części tiulowe dopasowane podług fig. 45; po złożeniu fałdów przyszywają się szwem odwracanym z przodu wzdłuż linii cienkiej od W do V, przy wykroju pachy do Q a wzdłuż pleców przez S do Y do części jedwabnych. Wykrój szyi otacza suta riusza koronkowa.



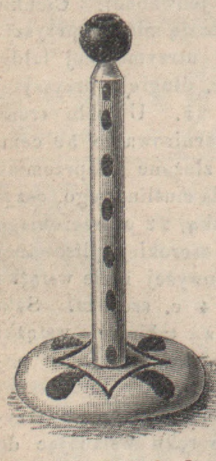
N. 12. Deseczka ozdobna pod ser, wędlinę i t. p. Deseń fig. 77.



N. 7. Bluza do pływania Krój N. 10. Patrz r. 14. N. 8. Ubranie kąpielowe Krój N. III. Patrz r. 13. N. 9. Dywanik kąpielowy. Deseń patrz fig. 35 — 35a.

N. 2. Suknia z krótkim stanikiem.

Gładka spódnica granatowej sukni ozdobiona jest u dołu białym szlakiem 13 c. szerokim; na modelu był on z białego kaszmiru haftowanego niebieskim jedwabiem. Odpowiednio do spódnicy, przy kaftanikowych przodach stanika dane haftowane obłożenie 5 c. szerokie; kamizelka marszczona z wełny białej. Potrzeba na nią dwóch kawałków po 37 c. szerokich 40 długich, zmarszczonych w górze i u dołu i przyszytych na podszewce przodów zapiętych na haftki. Rękawy mają guziczki z konchy perłowej. Szarfa 24 c. szeroka z materyi jedwabnej złożonej we dwoje, zakończona frendzlą 17 c. długą.



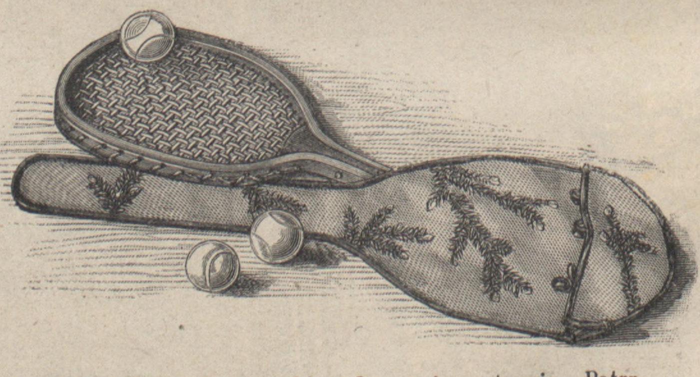
N. 10. Pionek do gry „Hopety-Wopety." Patrz ryc. 11.

N. 3 i 9. Dywanik kąpielowy. Deseń patrz fig. 35—35a.

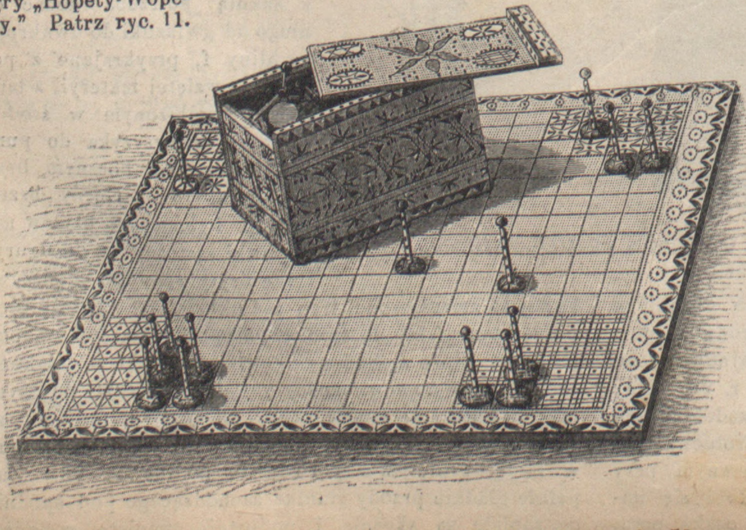
Tło dywanika 100 c. długiego, 62 c. szerokiego stanowi dający się prać bardzo gruby materyał żółtawy, podobny do kanwy Jawa, którego grube nitki łatwo i pospiesznie liczą się przy wyszywaniu krzyżykami. Wyszycie dane ponsową bawełną (twist), ściegiem krzyżykowym, jak to widzimy na próbce naturalnej wielkości r. 3; fig. 35 daje wyliczenie czwartej części deseniu zajmującego tło, fig. 35a narożnik. Brzegi poprzeczne dywanika podkładają się pod spód i podszywają szeroką taśmą.

N. 4 — 5. Torebka na przybory kąpielowe. Wymiar foremki drewnianej patrz fig. 76.

Wykonywa się łatwą i pospieszną robotą szydełkową z krętej bawełny, której grubość wskazuje próbka r. 5; przez środek liczy 28 c. długości a 70 c. górnego obwodu. Robotę zaczyna się od środka 19 c. długiego 5 c. szerokiego denka, łańcuszkiem na 37 o. pow. obrobionych po obu stronach 74 o. śc., w pierwsze i ostatnie o. zajmuje się 2 o. śc. Robiąc dalej wokoło daje się jeszcze dwa rzędy o. śc., ostatni rząd liczy 84 o. śc. i jeden rząd liczący 79 sł.; zamiast pierwszego sł. robi się 3 o. pow. Przybieranie wypada na wązkich stronach denka. Tło torebki składa się z najłatwiejszej roboty szydełkowej ze sł. i o. pow., jak to r. 5 przedstawia; w pierwszem obrobieniu wokoło denka grupa sł. zajmuje się co trzeci i czwarty sł. zostawiając sł. odstępu, w dalszych rzędach słupki zaczepiają się za całe 3 o. pow. Po odrobieniu 8 rzędów przeprowadza się nitkę do drugiego z trzech o. pow. i robi 7 o. pow. Do przewleczenia wstążki atłasowej 4 c. szerokiej dane następne obrobienie * 1 o. pow., 1 sł., 1 sł. dwa razy nawijany, 1 sł. trzy, 1 sł. cztery, 1 sł. pięć razy nawijany zajęte z powrotem w 6—2 o. pow., pięć razy nawinięty sł. w następne 3 o. pow. i takiż sł. w 3 o. pow. obok będące. Powtarzając od gwiazdki następne pięć sł. stopniowej wysokości zajmuje się



N. 15. Pokrowiec na rakietę do gry lawn tennis. Patrz ryc. 16. Krój N. XVI.



N. 11. Gra towarzyska „Hopety-Wopety". Deseń patrz fig. 78.

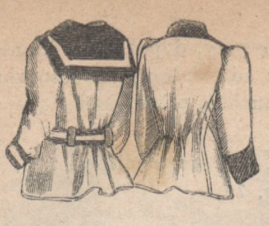


N. 13. Plecy do ryc. 8.

N. 14. Plecy do ryc. 7.



N. 16. Wyszycie ściegiem luźnym do ryciny 15.



N. 17. Plecy do ryc. 18.
N. 19. Plecy do ryc. 20.



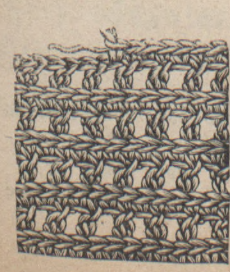
N. 18 Bluza dla chłopca lat 6—8. Krój N. IX.



N. 20—21. Ubranie dla chłopczyka lat 5—7. Krój N. VIII.



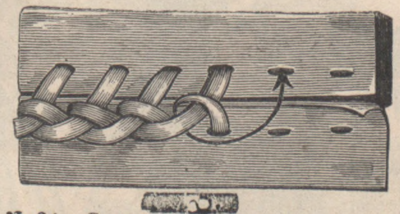
N. 22. Sukieneczka z przemarszczeniem (smock) dla dziecka noszonego na ręku. Krój N. XII. Patrz ryc. 23.



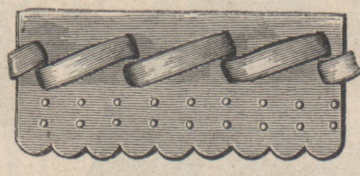
N. 31. Tło szydełkowe do r. 32 i 33.



N. 23. Sukieneczka z przemarszczeniem. Patrz ryc. 22.

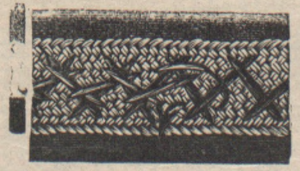


N. 24. Sznurowanie przemykiem do ryc. 26.

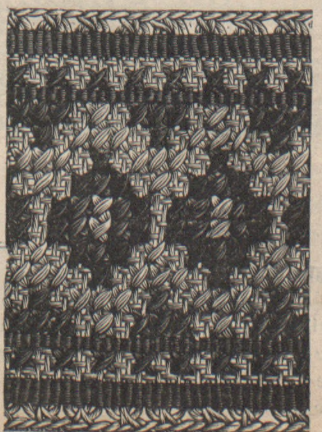


N. 25. Szlaczek do ryc. 26.

wzdłuż ostatniego 5 razy nawijanego sł.. Na końcu rzędu po ostatniem 5 razy nawijanym słupku robi się 4 o. nizkie wzdłuż 1 o. pow. i sł. poczem zaczyna się górną część torebki, robioną tak samo jak dolna. W ósmym rzędzie grupy sł. są przedzielane 1 o. pow., 1 o. śc. i 1 o. pow. (patrz ryc. 5). Uszy do ujęcia torebki po 34 c. długie są także wykonane szydełkową robotą, ale można zastąpić ją sznurem. Skończoną torebkę macza się w wodzie z klejem rozpuszczonym dodając do koloru trochę szafranu i wsuwa na foremkę drewnianą, wymierzoną podług fig. 76, tak grubą jak szerokie jest denko torebki, przez co po zupełnem wyschnięciu, nabiera sztywności.



N. 29. Pletnia wyszywana do ryc. 36.



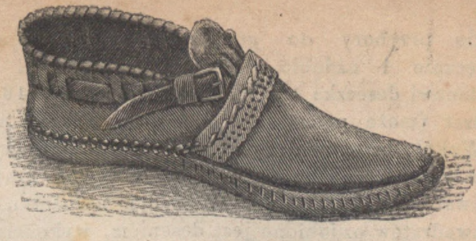
N. 30. Szlak do ryc. 32.

N. 6. Kapelusz ogrodowy dla panienki. Krój N. XIII.

Pięć razy na druciki zmarszczona krepa stanowi rondo, którego formę daje w naturalnej wielkości fig. 72; główka wygięta z drucika pokryta gładko krepą wziętą podwójnie, zwierzchu zaś denko krepowe ściśle zfałdowane, brzegiem główki ma nagłówek przemarszczony na drucik. Wokoło główki i rondka dana riusza z koronki 6 c. szerokiej, składanej w kontrafałdy, przedzielane puklami z wstążki, tworzącemi garnirunek na przyszyciu. Kokardy z deseniowej wstążki 3 c. szerokiej, połączone rulonem przewiniętym wierzchem ronda.

N. 7 i 15. Bluza do pływania. Krój N. X.

Gładki karczek kraje się z podwójnego materyału podług fig. 62—63; bluza krajana w całej długości ma u dołu formę szerokich majtek przymarszczonych do 40 c. obwodu, ku czemu podszyta listewka oznaczona na fig. 61B. Króciutkie rękawki dopasowane podług fig. 64 wązkiemi końcami zachodzą na siebie na 2 c. Model bluzy był z kolorowego szwajcarskiego perkalu, ozdobiony 3 c. szerokiemi pliskami białemi w rzucik kolorowy.



N. 26. Pantofel podróżny. Patrz r. 24—25.



N. 27. Okrycie mantylowe. Patrz ryc. 1. Krój N. VII.



N. 28. Serweta z wyszyciem krzyżykowem. Deseń patrz fig. 36.

N. 8 i 14. Ubranie kąpielowe. Krój N. III.

Odpowiednie do morskich kąpieli, uszyte z kolorowej flanelki i przybrane szerokiemi szlakami z flanelki białej, wyszytemi w deseń ściegiem łańcuszkowym, składa się z obszernej bluzy i majtek u góry zmarszczonych na tasiemkę. Kołnierz przyszywa się do bluzy od k do l podług linii cienkiej odznaczonej na przodzie i plecach; rękawy wszyte w pachę od h do gwiazdki gładko, dalej zmarszczone.

N. 10—11. Przybory do gry „*Hopety-Wopety*". Deseń wypalany patrz fig. 78.

Rycina 11 przedstawia nowy rodzaj gry towarzyskiej w cztery osoby, rozpowszechnionej w Anglii, którą nietylko młodzież ale i starsze osoby zabawiają się w dnie słotne, kiedy nie można spędzać czasu na świeżem powietrzu. Wszyst-

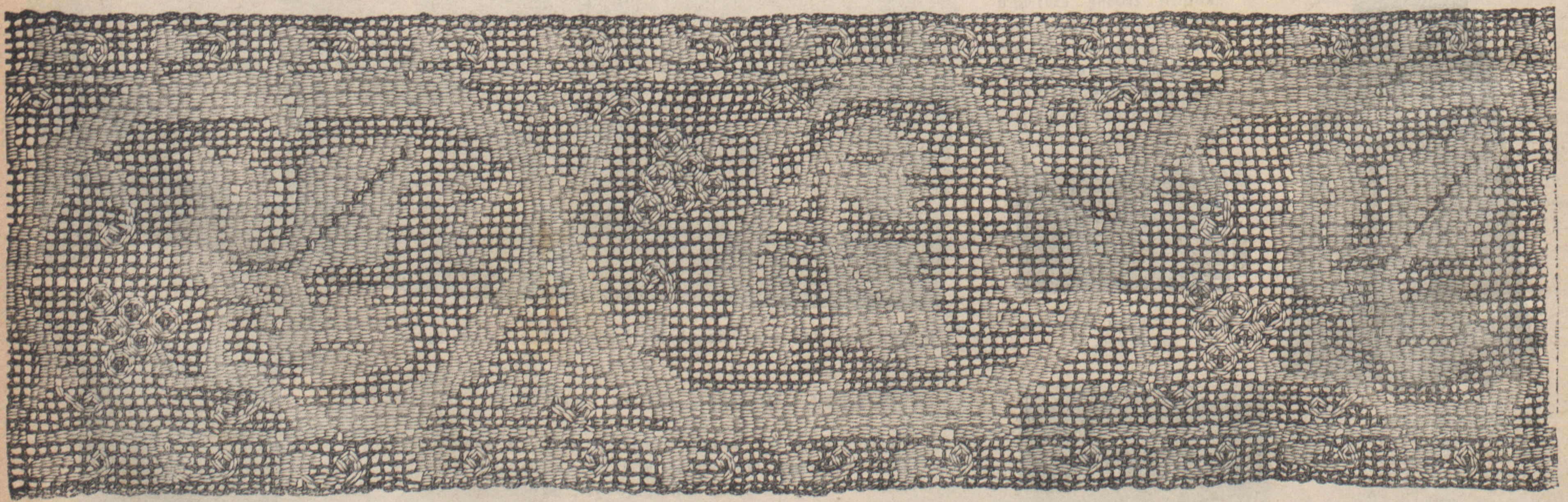


N. 32. Sukieneczka szydełkowa z wyszywanym szlakiem. Patrz ryc. 30—33.

kie przybory do gry można przygotować własnoręcznie i ozdobić deseniem wypalanym. Pole gry stanowi deseczka $1^{1}/_{2}$ cent. gruba, licząca 46 c. w kwadrat (może przez środek składać się na zawiasach). Wokoło brzegów dany 3 c. szeroki deseniowy szlaczek, cały zaś środek podzielony jest w równą kratę, po 15 kwadratów w rzędzie. W każdym narożniku trzynaście kwadratów ozdobione jest deseniem, wykonanym podług jednego z czterech wzorów na fig. 78. Do gry potrzeba 52 pionków, z których jeden w naturalnej wielkości przedstawia r. 10; można je obstalować u tokarza lub przygotować z drutów drewnianych zakończanych u góry paciorkami i z foremek drewnianych do guzików, każdych trzynaście pionków ma na podstawie ten sam deseń co w jednym z narożników, prócz tego niezbędnego odróżnienia można wzdłuż pałeczek dać przyozdobienie. Do chowania pionków potrzebne pudełeczko drewniane ozdobione deseniem wypalanym



N. 33. Sukieneczka szydełkowa dla dziecka lat 1—3. Patrz ryc. 30—32. — N. 34. Sukienka z gorsecikowym stanikiem i bluzką. — N. 35. Sukieneczka wycięta z krótkiemi rękawkami. Krój N. V. — N. 36. Sukienka naszyta pletnią dla panienki lat 5—7. — N. 37. Sukieneczka ze staniczkiem z boku zapiętym dla dziecka lat 3—4. Krój N. IV. N. 38. Sukienka wycięta dla dziewczynki lat 4—6. Krój N. XI. — N. 39. Sukienka z bluzką dla panienki lat 6—8. — N. 40. Ubranie spacerowe dla panienki.



N. 41. Szlak do serwet, firanek i t. p.

Zasady gry są następujące: każda z czterech osób dostaje 13 pionków, z takim samym deseniem jak narożnik, który sobie obiera i ustawia je na trzynastu deseniowych kwadratach tegoż narożnika. Wygrana zależy na tem, aby swoje pionki przeprowadzić i ustawić w narożniku przeciwnika, zajmującego przeciwległy narożnik po linii prostopadłej — kto pierwszy zajmie pole całkowite ten zwycięzca. Można stawiać tylko po jednym kroku naprzód, prosto lub skośnie, na prawo czy na lewo, ale nigdy w tył. Przeskoczenie pionka własnego lub trzeciego uczestnika gry dozwolone wtedy gdy tuż za nim jest kwadrat pusty, który trzeba zająć. Jeżeli położenie gry sprzyja ku temu dozwolone jest przeskoczyć nawet kilka pionków, byle takowe stały obok siebie. Przez możliwe skrócanie drogi i przeskakiwanie, grający usiłuje jak najśpieszniej dojść do celu, zadaniem zaś trzech partnerów jest przeszkadzanie mu w posuwaniu się naprzód, nie tracac jednak z pamięci osobistego interesu. Namyślać można się póty, dopóki pionka nie postawimy, odjąwszy rękę już nie wolno go przestawić, trzymając się reguły: „pièce touchée, pièce jouée.“

N. 12. Deseczka ozdobna pod ser, wędlinę i t. p. Deseń fig. 77.

Przeznaczona do położenia na stole w jadalnym pokoju, do krajania na niej sera, serdelków, szynki, liczy 25—35 c. długości, 13—20 szerokości i ozdobiona jest ze strony zewnętrznej deseniem wypalanym i malowanym olejnemi farbami. Fig 77 daje deseń w naturalnej wielkości; kontury wypala się grubiej, cienie delikatnie a tło maluje niebiesko.

(*Dokończenie nastąpi*).